

**ALFONS DEEKEN**

**GDY  
PRZY-  
CHODZI  
STAROŚĆ**

---

**Wydawnictwo  
Apostolstwa  
Modlitwy  
Kraków**

## OD WYDAWNICTWA

Żyć wiecznie, nie umierać — oto treść pragnień nurtujących ludzi wszystkich czasów. Życzenie to nigdy się jednak nie spełni i człowiek wie o tym dobrze. Dlatego w swej bezsilności chce on przynajmniej przedłużyć swe życie i uczynić je szczęśliwszym. Okazuje się jednak, że cel nawet tak zaniżony nie łatwo jest osiągnąć. Wprawdzie udało się ludziom, przynajmniej w niektórych rejonach świata, przedłużyć o kilka lat swe życie, ale czy stało się ono bardziej szczęśliwe, to już inna sprawa. Bowiem tak dziwnie się dzieje, że choroby, głodu, kłopotów, trudności — słowem cierpienia — nie można wymazać z życia człowieka. I dlatego obok pragnienia, by nie umierać, dochodzi jakże często do głosu coraz bardziej natarczywa myśl: „żeby się to wszystko jak najszybciej skończyło”.

Książka, którą dajemy Czytelnikowi — posuniętemu w latach ku pokrzepieniu, młodemu dla refleksji — ma dwie przynajmniej zalety:

a) Bezpośrednio przemawia wprawdzie autor do człowieka starego, ale to, co mówi, z łatwością może do siebie dostosować nawet bardzo młody człowiek, zbliżający się np. wskutek gwałtownej a nieuleczalnej choroby do domu Ojca niebieskiego.

b) Autor jest księdzem katolickim i pisze przede wszystkim do ludzi wierzących, kładzie zatem nacisk na to, że starość jest nie tyle okresem ludzkiego umierania, ile czasem nadprzyrodzonego dojrzewania dla Boga. I właśnie dlatego powinna być zawsze źródłem radości. Kto dokonał czegoś w życiu, niech się raduje z tego, co zrobił, ale niech się raduje w Bogu i dla Boga. A kto nie zrobił nic, owszem, nawet ten, kto w dawnym życiu zasłynął z czynów złych, niech się teraz w Bogu raduje, że oto dany mu został czas na wewnętrzną przemianę, na owocną dla życia nadprzyrodzonego skruchę.

Książka Alfonsa Deekena napisana została dla czytelników w Stanach Zjednoczonych i tylko tamtejsze realia uwzględnia. Temu brakowi zaradzić usiłuje rozdział

dodatkowy, napisany przez ks. Stanisława Nawrockiego TJ. Czytelnicy znajdą w nim to, czego nie mógł napisać Alfons Deeken.

*Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy*

# I

## W STAROŚCI

### *Starość*

W czasie mego kilkuletniego pobytu w Japonii rzucała mi się nieraz w oczy charakterystyczna cecha życia Japończyków, mianowicie ich głęboki szacunek dla tradycji i ludzi starszych. Kiedy wchodzimy do japońskiego domu, widzimy często w głównym pokoju małą kapliczkę, w której oddaje się cześć przodkom rodziny. Choć wiele dawnych zwyczajów ulega szybkiej zmianie, to jednak — moim zdaniem — głębokie pokłony młodych ludzi przed swoimi rodzicami i starszymi dowodzą, że mimo przenikania wzorów zachodnich konfucjańskie poczucie hierarchii nie straciło swej siły. Otaczanie czcią starszych ma w Japonii długą tradycję. Jeden z mistrzów neokonfucjańskich mówi:

„Właśnie oddawanie czci rodzicom odróżnia ludzi od ptaków i zwierząt”.

W Ameryce natomiast powiedzenie: „Starość jest piękna” nie należy do codziennych, popularnych sloganów. Tutaj problem starzenia się narzuca się z większą natarczywością niż kiedykolwiek dotychczas w historii. Jak wskazują statystyki, ludzie dzisiaj żyją dłużej, a przy obniżającej się liczbie urodzeń wzrasta stale w społeczeństwie procent ludzi starszych. W roku 1850 tylko 2,5% Amerykanów było w wieku 65 lat lub ponad. Dzisiaj do tej grupy należy już 10%, czyli 20 milionów ludzi. Z obliczeń statystycznych wynika, że spośród trzech Amerykanów mających obecnie ok. 25 lat jeden będzie żył jeszcze w roku 2000. Obliczono więc, że w tym samym czasie będzie przynajmniej 30 milionów Amerykanów w wieku ponad 65 lat.

Ponieważ w ostatnich latach poświęcono wiele uwagi młodzieży, problemy wrażliwej liczby ludzi starszych przeszły prawie nie zauważone. Mam na myśli oczywiście szerszy zakres problemów niż mieszkanie, utrzymanie, zdrowie. Dobrobyt, ubezpieczenia społeczne, programy medyczne są rzeczą dobrą, ale daleko im do

tego, by stały się uniwersalnym lekarstwem na bolączki, które nas najbardziej w tej książce interesują.

Podczas gdy kultury tradycyjne, chińska i japońska, podkreślały i podkreślają związek jednostki ze wspólnotą, to cywilizacje zachodnie coraz bardziej opowiadały się — i to już od renesansu — za wartościami, jakie niosły ze sobą niezależność i autonomia jednostki. Społeczeństwa zachodnie gloryfikując od pokoleń te wartości, w bardzo poważnym stopniu zaniedbały równie doniosłe wartości płynące z wspólnego przebywania, solidarności i wspólnoty. Sytuacja w Ameryce jest typowa dla całego Zachodu. Obecnie zaczynamy zbierać owoce z jednostronności takiego wyboru. Młodzi ludzie nadzwyczaj dobrze wyuczyli się lekcji o niezależności, ale przepaść między nimi a pokoleniem starszym staje się coraz głębsza. Dzisiaj człowiek Zachodu bardzo żywo uświadamia sobie przeogromną cenę, jaką musi płacić za podkreślanie indywidualizmu i niezależności: ceną tą jest odosobnienie i poczucie samotności. I to właśnie ludzie starsi muszą brać na siebie największy ciężar. O nich to powiedziano, że jest to „może najbardziej opuszczone pokolenie, jakie

kiedykolwiek zamieszkiwało ziemię” (F. E. Crowe).

Simone de Beauvoir w swoim monumentalnym studium *O starości* (*La Vieillesse*) maluje bardzo ponury obraz postaw cywilizacji zachodnich wobec ludzi starych. Autorka pisze z bólem, że ludzie starzy często są traktowani tak, jakby w ogóle nie byli ludźmi. Młodzi często sztydzą z nich, wykorzystują ich i poniżają. W naszym zachodnim społeczeństwie wiek jest wstydliwym sekretem, a przynajmniej czymś żenującym, o czym się nie mówi. Założeniem książki pani de Beauvoir jest właśnie przełamanie zмовy milczenia, głośne wołanie, że nasze traktowanie ludzi starszych jest okrutną zbrodnią. Pisze ona, że we Francji dzieci podczas wakacji umieszczają często swoich starszych rodziców w zakładach lub przytułkach, a po wakacjach „zapominają” ich zabrać z powrotem. Rozwinięte narody zachodnie wykazują tendencję do traktowania ludzi starych jako dobrej okazji do opłacalnej budowy domów i cichych wiosek z zawodowym personelem dla tych, którzy mogą sobie na to pozwolić. Mimo wszystko jednak ludzie starsi cierpią wskutek niedostatecznej troski i opieki.



Książka *O starości*, która stała się we Francji bestsellerem, kończy się nawoływaniem do radykalnej reformy. Jeśli współczesne zachodnie społeczeństwo odnosi się do ludzi starych tak nikczemnie, powstaje konieczność gruntownej reformy. Jedyny sposób na uzdrowienie tak niegodziwej sytuacji to zmiana systemu. Musi ulec zmianie nasza zasadnicza postawa wobec społeczeństwa, ekonomii, struktur wartości i samego życia.

De Beauvoir zburzyła spokój i zadowolenie, z jakim współczesne społeczeństwo odnosi się do starości. Obudziła sumienie Zachodu, by przemyślał i zreformował swój stosunek do człowieka starego. Wydaje się, że aby stworzyć warunki do bardziej ludzkiego życia w starości, konieczna jest zmiana struktur naszego życia u samych jego podstaw. Trzeba będzie przeprowadzić wiele różnorodnych badań, by stworzyć naukowe oparcie dla tych strukturalnych reform.

Ale poza zagadnieniem struktur społecznych, podstaw społeczeństwa i reform ekonomicznych istnieje poważniejszy problem, problem postawy, jaką muszą przyjąć ludzie starzy wobec swojego wieku, jeżeli istotnie chcą nad nim panować. To

jest właśnie istotne zagadnienie mojej książki.

W naszej epoce wzrastającej stale wolności i swobody mało już pozostało tzw. tabu, a mimo to — rzecz dziwna! — dla wielu ludzi wiek pozostał takim właśnie tabu, o którym się nie wspomina. Uchodzi przecież za wielki nietakt zapytać kobietę po trzydziestce, ile ma lat. Będę się starał wykazać, że starość nie tylko nie jest jakimś skrepowaniem człowieka, ale że jest rzeczywiście złotym okresem ludzkiej dojrzałości, spełnienia i głębokiego szczęścia. Książka będzie służyć pewną praktyczną pomocą, psychologiczną i duchową, by starzy ludzie mogli swoje stare lata pięknie przeżyć i owocnie je wykorzystać. Mamy również nadzieję, że i ludzie w średnim wieku będą mogli z niej skorzystać i przygotować się do tego tak poważnego okresu życia. Spodziewamy się, że w przyszłości coraz więcej ludzi starszych dostrzeże te jedyne możliwości, jakie im daje wiek starszy, i że niektórzy zaczną nawet doświadczać tego sami, że „starość jest piękna”.

## *Proces starzenia się*

Starzenie się niesie ze sobą jedno z najtrudniejszych zadań w rozwoju człowieka. Natura ludzka wydaje się buntować przeciw detronizacji człowieka, następującej w procesie starzenia się. Wielu ludzi nigdy nie potrafi opanować wielkiego kryzysu starzenia się. Co najwyżej walczą daremnie z nieuniknionym faktem posuwania się w latach i stopniowo dochodzą do zgorzkniałej rezygnacji. Wówczas wyzbywają się wszelkiej ambicji, poddają się znużeniu i tracą żywotność. Dla nich życie, rozumiane jako praca nad osiągnięciem praktycznych celów, zbliża się do końca, nawet jeżeli jeszcze tkwią w nim jakiś czas bez celu, zrzedząc i narzekając. W ten sposób marnują oni jedną z najlepszych możliwości wzrostu i rozwoju człowieka, ponieważ nie pojęli tego, że proces starzenia się daje człowiekowi wielką szansę osiągnięcia dojrzałości — umożliwia dojście do prawdziwie ludzkiej pełni.

Przyzwyczajaliśmy się już wszyscy do różnych poziomów wieku: dziecięcego, młodzieńczego i już dojrzałego, choć jeszcze wczesnego. Wiemy też, jak ważne jest i trudne właściwe przejście z dzieciń-

stwa do wieku młodzieńczego, a później do wieku dojrzałego. Wszyscy dobrze znamy kryzysy związane z tym przechodzeniem.

Jesteśmy natomiast mniej świadomi tego, że przejście z czynnego wieku średniego do starości niesie z sobą równie poważny kryzys. Nie mówi się wiele o tym, ponieważ ludzie przeważnie nie chcą ani przed sobą, ani wobec innych przyznać się do tego, że się starzeją. Zwłaszcza Amerykanie żyją w kraju, który posiada stosunkowo młodą kulturę, każdy więc jakoś to czuje, że powinien zostać młodym, a przynajmniej stwarzać zewnętrzne pozory, że jeszcze jest młody. Ale to pospolite oszukiwanie samego siebie w naszej kulturze zachodniej nie zmienia prostego faktu, że każdy z nas się powoli starzeje i że ostatecznie musi stawić czoła kryzysowi starości. Nasza cywilizacja nastawiona jedynie na młodość utrudnia proces starzenia się w sposób pogodny i piękny, ponieważ ludzie starzejący się nie znajdują w społeczeństwie zrozumienia i poparcia wtedy, kiedy przechodzą w wiek starszy.

Przed tą rzeczywistością nie ma żadnej ucieczki: każdy z nas musi stanąć twarzą w twarz z kryzysem starości, chyba

że zabierze go przedwczesna śmierć. Każda kobieta wcześniej czy później musi zrozumieć, że kwiat jej wieku przeminął, musi sobie w końcu uświadomić, że jej zewnętrzny wygląd nie budzi już takiego zainteresowania jak dawniej. Ludzie mogą jeszcze cenić jej zdolności, jej zawodowe osiągnięcia i jej dobrą opinię, ale jej samej będzie na tym wszystkim już mniej zależało niż na dobrej emeryturze. Pewne fizyczne dolegliwości dadzą znać o sobie: lekkie zaburzenia władz poznawczych, krótszy i słabszy sen, bóle reumatyczne, dotkliwe migreny. Starzejąca się kobieta staje się łupem nastrojowości, drażliwości, niepokoju. Siły życiowe powoli słabną, znużenie bierze górę. Poranki tracą swój czar nowości, godziny południowe płyną monotonnie, a długie wieczory i noce upływają w samotności.

Gdy mężczyzna osiągnie 50 rok życia, napotyka swojego „demona południa”. Wszystko naraz staje pod znakiem zapytania: jego życie zawodowe, stosunek do kolegów, życie seksualne. Jego rodzina często się kurczy, ponieważ dzieci już dorosły i opuściły rodzinne gniazdo. Zauważyć można, że jego wydajność w pracy jest mniejsza, siła twórcza już zanika Nie-

jeden w tym wieku zaczyna tracić poczucie pewności siebie i bezpieczeństwa. To, co się w nim dzieje, wprowadza go w zakłopotanie. Jakiś czas mógł być dumny ze swoich dzieci wyruszających w świat, ponieważ to są przecież jego dzieci, i słusznie mógł się cieszyć z ich początkowych sukcesów. Lecz gdy młode pokolenie przejmuje stopniowo wszystkie sprawy w swoje ręce, czuje, jak na miejsce dawnego zadowolenia wkrada się do serca bolesna nieufność. Są to pierwsze bolesne znaki zbliżającego się kryzysu starości. Wewnątrz duszy zaś rodzi się przygnębienie i świadomość, że „życie przemija i nadzieje kiedyś dzień, kiedy się okaże, że jestem nikomu niepotrzebny”. Niełatwa to rzecz zrezygnować z życia i ustąpić: wszyscy stają do walki, by je zachować i przedłużyć. A jednak coraz częściej wkrada się ponura myśl, że znów jedno istnienie odpadnie od życia jak zeschnięty liść z drzewa.

### *Indywidualna osobowość w procesie starzenia się*

Jednym z najbardziej interesujących odkryć współczesnej gerontologii jest to,

że w wieku każdego człowieka trzeba wyróżnić trzy elementy: chronologiczny (wyznaczany liczbą lat), biologiczny (zależny od stanu i warunków ludzkiego organizmu) oraz psychologiczny (zależny od tego, jak człowiek się czuje i jak działa).

Jest rzeczą ogromnej wagi, by starzejący się człowiek nie hołdował ciasnemu i fatalistycznemu pogładowi, według którego warunkiem dobrego samopoczucia i działania jest wiek chronologiczny, wyznaczany kartami kalendarza. Niektórzy ludzie starzeją się szybko biologicznie właśnie dlatego, że czują się staro. Spotykamy natomiast nawet osiemdziesięciolatków, którzy czują się bardziej młodo niż wielu innych o połowę młodszych.

Większość z nas zna zapewne ludzi fizycznie upośledzonych, których można by przynajmniej częściowo uważać za biologicznie starych. Tymczasem doszli oni do takich osiągnięć, jakie w normalnym trybie wymagają pełnych zdolności fizycznych i zdrowia, czyli biologicznej młodości. John Milton, największy zapewne poeta angielski po Szekspirze, napisał ogromną ilość wspaniałych utworów w ostatnich dwudziestu latach swojego życia, kiedy był już całkowicie ociemniały. A Lu-

dwik van Beethoven, powszechnie uznany za największego kompozytora w historii, był jeszcze bardziej zadziwiający. Komponował do końca życia, chociaż przez 15 lat był zupełnie głuchy. I pomyśleć, że gdyby ci dwaj ludzie pozwolili sobie na ograniczenie swego psychicznego wieku i twórczości przez fizyczne ułomności, bylibyśmy pozbawieni tak wspaniałych dzieł sztuki, jak np. *Raj utracony* Milтона albo dziewiąta symfonia Beethovena.



## II

### ZMAGANIE SIĘ ZE STAROŚCIĄ

#### *Starość odrażająca*

Z powyższego opisu procesu starzenia się widać, że w tym czasie czyhają na człowieka różne pułapki. Chcemy teraz zwrócić uwagę na niektóre niebezpieczeństwa tego okresu.

Wielu ludzi po prostu nie godzi się z tym, że się starzeją. Trzymają się kurczowo młodości, podobnie jak gąsienica motyla trzyma się bojaźliwie gałęzi drzew i nie chce się stać motylem i bujać swobodnie w przestworzach. Starzejący się mężczyźni i kobiety najczęściej zamykają oczy na fakt, który widzą wszyscy inni, że już się starzeją, i udają dalej młodych ludzi. Żałosny to widok, gdy na ulicy czy na innym miejscu publicznym starzejąca

się kobieta sili się, by pokazać, że jest młodsza, niż jest rzeczywiście. A olbrzymia obecnie produkcja kosmetyków dla mężczyzn dowodzi, że i oni zaczynają spoglądać coraz niechętniej na swój wiek. Jedna i druga płeć nie chce uznać, że każdy poziom wieku posiada swoje piękno.

### *Zawiść i uraza do młodych*

Następną pułapką w okresie starzenia się jest postawa zawiści i urazy do pokolenia młodszego. Istotnie trzeba dużej odwagi i wielkoduszności, by bez żadnej urazy i zazdrości patrzeć, jak młodzi ludzie cieszą się życiem i zdobywają sukcesy. Jedynie w dobrowolnej i głęboko wewnętrznej zgodzie na przemijanie tego, co jest właściwe dla poprzedniego etapu życia, można poddać się procesowi starzenia się bez lęku i niezadowolenia.

Jeżeli ktoś nie dostrzeże nowych i wspaniałych horyzontów, jakie otwierają się przed nim tylko w starości, będzie z całą pewnością patrzył z żalem na młodych i odczuwał głęboką urazę do nich. To niebezpieczeństwo zawiści i żalu jest szczególnie wielkie w naszej cywilizacji za-

chodniej, która przywiązuje tak wielką wagę do dobrodziejstw młodości. W Chinach i Japonii wiek podeszły ze względu na jego doświadczenia był zawsze w wysokiej czci i poszanowaniu. Z tego też powodu zarówno w Chinach, jak i Japonii uraza i zawiść nie miały prawie nigdy odpowiedniego gruntu do rozwoju. W naszej zaś cywilizacji zachodniej szacunek dla doświadczenia ludzi starych prawie że nie istnieje.

Ponadto wychowanie i współczesne środki przekazu społecznego wydają się coraz częściej przejmować funkcję zastrzeżoną kiedyś tylko dla ludzi dojrzałych i doświadczonych. Postęp odbywa się tak szybko, że człowiek stary nie może już dotrzymać kroku młodszemu od siebie. Sami zresztą młodzi muszą się dokształcać i przestawiać tak często, że człowiek stary w praktyce nie ma im już wiele do powiedzenia.

Gdzie zaś starsze pokolenie mogłoby rzeczywiście służyć cenną pomocą, w tych mianowicie dziedzinach, które wymagają mądrości nabytej doświadczeniem, tam najczęściej nie czuje się ono pewne siebie. Młodzi nie odczuwają potrzeby wysłuchania rady starszych, a ci w takiej

sytuacji bardzo szybko tracą pewność siebie. Przeżywają swoje życie w gorzkiej rezygnacji, zawiści i urazie. Nierzadko nawet odczuwają złośliwą radość z widocznych niepowodzeń młodszego pokolenia. Chociaż to już nic nie pomoże, nie mogą się powstrzymać od szyderczej uwagi: „a nie mówiłem?”, jeżeli jakiś młodzińczy pomysł skończy się niepowodzeniem.

### *Ucieczka od starości*

Starzejący się mężczyźni i kobiety przeważnie z upodobaniem powracają myślami do własnej przeszłości. Jedną z wielkich pokus starości jest ucieczka od nieprzyjaznej terażniejszości i nie obiecującej przyszłości w przyjazne wspomnienia z przeszłości. Wielu ludzi po odejściu na emeryturę przeżywa duży szok, ponieważ wydaje im się, że uwaga i szacunek, z jakim odnosiło się do nich ich dotychczasowe otoczenie, nagle zostały bardzo pomniejszone. Rezultatem tego zjawiska jest często utrata pewności siebie i gorzkie uczucie braku ludzkiego uznania i wdzięczności. Kiedy tylko wiek emerytalny usu-

nie starszego człowieka z pozycji, jaką zajmował w zawodzie i produkcji, dawni koledzy i podwładni okazują mu często znacznie mniejsze uszanowanie. Człowiekowi usuwającemu się w cień świat terażniejszości jawi się nagle jako całkiem inny, nieprzychylny, obcy, a nawet nieprzyjazny. Jego pierwszą reakcją jest usunięcie się z niego i zamknięcie się w sobie i w swej przeszłości, kiedy to wszystko było jakoś wiele lepsze. Wskutek tego wielu starszych ludzi powraca pamięcią do swej przeszłości i uznaje za lepsze swoje dawniejsze życie, okres swego dzieciństwa i młodości. W ich wyobraźni wyłania się i coraz częściej się pojawia w rozmowach wyidealizowana wersja ich przeszłego życia: „Gdy byłem młody, nie zachowywaliśmy się w taki sposób... Ludzie byli naprawdę lepsi”. Ponieważ otoczenie zwraca na ludzi starszych coraz mniej uwagi i wskutek tego zagrożone jest ich własne poczucie godności, próbują oni wychwalać swoją przeszłość, przedstawiając w przesadnych rozmiarach dawne osiągnięcia, wysławiając swoją wielkość i ważność. Dzieła literackie malują portrety takich patetycznych postaci, które w beznadziejny sposób usiłują przekonać i sie-

bie, i swoich słuchaczy o tym, że ich przeszłość była bardziej chwalebna, niż by kto myślał.

Żeby nie być gołosłownym, zwróćmy uwagę na niektóre postacie z kilku najlepszych dramatów z ostatnich czasów. Niewątpliwie wielu z nas w wadach tych postaci rozpozna z mniejszą lub większą dokładnością swoje własne.

James Tyron, podstarzały tatuś w arcydziele Eugeniusza O'Neilla *Zmierzch długiego dnia*, i jego nadużywająca narkotyków żona, Maria, są przykładem pary małżeńskiej, która ucieka przed nadchodzącą starością i sama siebie zwodzi rozpamiętywaniem przeszłości. O'Neill daje tu portret swojego ojca, aktora, który miał zwyczaj grywać tylko jedną romantyczną rolę hrabiego de Monte Christo i przez wiele lat nie rozwijał swoich aktorskich możliwości. Urodzony sknera, powierzył swoją chorą żonę opiece jakiegoś znachora, który leczył ją nadmiernymi dawkami morfiny. Maria stała się wskutek tego narkomanką, a nie mogąc pogodzić się z oczywistym faktem, że lata mijają, w narkotykach szuka ucieczki w świat złudy. We wzruszającej scenie snuje wspomnienia o swej młodości i trzymając w rękach słu-

bną suknię, usiłuje przywołać przeszłość, kiedy to po raz pierwszy pokochała Jamesa Tyrona „i przez jakiś czas była taka szczęśliwa”. James, starzejący się już aktor, nie może znów pogodzić się z prawdą o swej przeciętności, niepewności i skąpstwie. Ścigany przez uczucie nieuniknionej zguby, usiłuje zapomnieć o ponurej rzeczywistości swych schyłkowych lat i szuka schronienia w pijaństwie. Tyronowie muszą przywdziać maski, by się pod nimi ukryć i stworzyć jakąś nierealną przeszłość, która mogłaby się okazać mniej przykrą niż nieznośna udręka terażniejszości. Bolesne oczyszczenie domaga się od nich zdarcia masek i uczciwego odsłonięcia swoich własnych osobowości, obciążonych błędami przeszłości.

Innym przejmującym przykładem jest czterdziestopięcioletnia Amanda Wingfield, matka w sztuce Tennessee Williamsa *Szklana menażeria*. Ona również żyje przeszłością, wspomina osiągnięcia społeczne z czasów, kiedy to jeszcze była piękną Południową. Niezdolna do pogodzenia się z bezbarwnym obecnie życiem w nudnym St. Louis, wspomina Amanda dawne dobre dni, kiedy to jako młoda dziewczyna mieszkała na wielkiej planta-

cji na Południu i w niedzielne popołudnia „odwiedzało ją aż siedemnastu panów”. Nieodporną i delikatną, podobną do szklanych zwierzątek swojej kalekiej córki (stąd tytuł sztuki: *Szklana menażeria*) — dała się Amanda uwikłać w sieć wspomnień, rozczarowań i lęków. Jej mąż, telefonista, opuścił ją, gdy „ogarnęła go miłość do wielkiej odległości”. Nieśmiała i kaleka córka Laura usiłuje znaleźć schronienie w zmyślonym świecie kolekcji szklanych zwierzątek. Amanda, chociaż jest matką, żyje w świecie mniej realnym niż jej córka. W rzeczywistości jej wspomnienia wydają się być mniej realne niż nawet kruche szkło i Amanda, choć zdaje sobie nieśmiało z tego sprawę, trzyma się ich tym bardziej kurczowo.

Pisarz angielski, Terence Rattigan, stworzył w sztuce *Oddzielne stoły* postać, która jest niejako uosobieniem — znanej psychologom — postawy starych ludzi: starają się oni często, by otoczenie wiedziało, że mieli w życiu większe osiągnięcia, a w zawodzie i społeczeństwie większe znaczenie, niż to było w rzeczywistości. Major Pollock, oficer rezerwy, stara się być pewny siebie i chętnie opowiada o swoich wyczynach militarnych, ale stop-



niowo traci szaty sławnej niby to przeszłości. Okazuje się, że jest to stary łgarz i że nie tylko nigdy nie zdobył stopnia, którym się przechwalał, ale nawet nigdy nie brał udziału w walkach, w których miał wykazać tak wielką odwagę.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że człowiek stary powinien wyrzec się wszelkich wspomnień z młodości. Z takich wycieczek w przeszłość można czerpać z pożytkiem pociechę i przyjemność, a nawet podsycać zdrową dumę z dokonanych dzieł w życiu. Należy się jednak wystrzegać wielkiej pokusy idealizowania i wysławiania swojej przeszłości. A co jeszcze ważniejsze — nie wolno przez całkowitą ucieczkę w przeszłość zamykać oczy na wyzwanie, jakie rzuca nam wiek obecny. Wiele się teraz mówi o młodych, którzy odrzucają naszą cywilizację, i nazywa się ich uwłaczająco „wyrzutkami”. Czy na takie miano nie zasługują też ludzie starzy, którzy buntują się przeciw życiu w teraźniejszości, a uciekają w przeszłość?

### *Egoizm wieku starszego*

Czwarte poważne niebezpieczeństwo którego musi się wystrzegać człowiek star-

szy — to egoizm. Objawia się on często w pewnego rodzaju materializmie. Rzeczy namacalne stają się ważne: jedzenie, picie, rachunek w banku, wygodny fotel. Starczy kaprys i sobkostwo przejawiają się w żądzy władzy, w namiętności rządzenia i tyranizowania własnej rodziny i otoczenia. Ludzie starzy czują to, że z każdym dniem zmniejszają się ich siły. Niebezpieczeństwo leży w tym, że chcą oni sobie to odbić przez samolubstwo, twardość w postępowaniu z innymi i przez nieograniczone przekonanie o słuszności własnego postępowania. W takim przypadku starzec wprost klei się do wszystkiego, co może chwycić w ręce i nie zwraca uwagi na to, że życie i cały świat powoli, lecz nieustępliwie usuwa się w dal. W literaturze klasycznym przykładem takiego starczego egoizmu jest stary nędzarz Scrooge z *Opowieści wigilijnej* Dickensa.

Mówiąc o starczym egoizmie, nie mamy na myśli tylko owych antypatycznych jednostek, które już u progu zniedołęźniają starości jakby na ironię ujawniają w sobie tylko to, co najgorsze. Bywa często i tak, że ktoś dawniej bardzo szanowany, ale umiejący łokciami przepychać się przez

życie, może w starości stać się nieznośnym tyranem i samolubem. Życie jego staje się po prostu tragiczne: tyle w życiu zdołał, tyle dobrego dla ludzi zrobił, a teraz — w starości — odgrywa w rodzinie rolę tyrana. Dorobił się sam wszystkiego, oddawał każdy grosz żonie i dzieciom, a teraz — w ostatnich latach swego życia — rządony kapryсами, tyranizuje rodzinę, pomija ją i do znudzenia opowiada, kim to on nie był, ile się dla nich napracował i jak mało wdzięczności go spotyka.

Robert Anderson daje mistrzowski portret takiego człowieka w filmie *Nigdy nie śpiewałem mojemu ojcu*. Tom Garrison, osiemdziesięcioletni już ojciec, bardzo ciężko pracował przez całe swoje życie. Zaczął od sprzedawania gazet, a w końcu doszedł do pokaźnych zarobków. Jako emeryt otrzymywał 50 tysięcy dolarów rocznie. Powiodło mu się w życiu, ale równocześnie jego własny egoizm tak się w nim rozpanoszył, że omal nie wyssał on życia z syna, mającego już 40 lat. Syn mógł mieć to tylko, co ojciec uznał za stosowne i na co mu pozwolił. Stary człowiek nigdy nie ma pokus przeciw wierze w swoją własną nieograniczoną władzę nad innymi i nad sobą. Niemożliwe jest

jakiegokolwiek realne porozumienie z ojcem, ponieważ stary człowiek na wszystko ma gotową odpowiedź, że w życiu do wszystkiego sam doszedł. Ten fakt daje mu — zgodnie z jego własnym przekonaniem — nieograniczone prawo do sądzenia, decydowania i kontrolowania życia i przeznaczenia syna.

### III

## JAK SIĘ PIĘKNIE ZESTARZEĆ?

### *Przyjęcie starości*

Czy człowiek może przyjąć kryzys starości pozytywnie? Przypatrzmy się takim możliwościom.

Stopniem pierwszym i podstawowym jest przyjęcie faktu starzenia się. Znosić tylko nieunikniony proces starzenia się to postępować błędnie. Proces ten musi człowiek przyjąć pozytywnie i odpowiedzieć mu: tak! Bo to przecież nowy etap tego samego życia. Jeżeli mężczyzna lub kobieta potrafi odkryć te jedyne wartości, jakie dać może tylko wiek dojrzały, wówczas ani on, ani ona nie będą biernie znosić tego, co nieuniknione, lecz energicznie i odważnie wejdą w bramy, które prowadzą do ostatecznego dokonania i dopełnienia ludzkiego życia. Jeżeli spotkasz jakiegoś star-

szego człowieka, zazwyczaj bardzo szybko się zorientujesz, czy wziął on się za bary ze swoim wiekiem. Jeżeli tak, będzie spokojny i opanowany. Jeżeli nie, jego wewnętrzne rozbitcie objawi się w niepokoju, nieustannych utyskiwaniach i zaabsorbowaniu drobiazgami.

### *Nabywanie bezstronności i mądrości*

Drugim pozytywnym stopniem na drodze do dobrego starzenia się jest nabywanie pewnej bezstronności. U szczytu rozwoju swego życia człowiek jest normalnie tak zaplątany w sprawy dnia powszedniego, w sprawy rodzinne i majątkowe, że nie potrafi spojrzeć na świat z prawdziwą bezstronnością. Jest on po prostu żywą częścią tego wszystkiego. Dopiero człowiek starzejący się może po raz pierwszy w życiu zdobyć postawę pewnego oderwania i oddalenia się od świata. Może się ustawić w jakimś dystansie do otoczenia i swoich spraw i uzyskać nową perspektywę.

Ta nowo nabyta obiektywność, szeroka perspektywa czy też bardziej całościowy ogląd ułatwia głębsze spojrzenie na rzeczywiste znaczenie wszystkich spraw zwią-

zanych z życiem i miłością, ze światem i Bogiem, z czasem i wiecznością. Postawa bezstronna pozwala człowiekowi dojrzeć prawdziwe wartości uwolnione od egoizmu, osobistych zainteresowań lub też różnego rodzaju skrzywień i uprzedzeń, które zazwyczaj przyciemniały jego pogląd na sprawy w latach młodszych. Jeżeli człowiek osiągnie ten stan bezstronności i obiektywizmu, ludzie młodzi będą prosić go o radę, ponieważ już nie będą się musieli obawiać, że będzie im narzucał swoje osobiste i egoistyczne ambicje. Stary człowiek zamieni siłę na mądrość wyrażającą się we wnikliwym i pełnym zrozumienia dawaniu rad młodszym. Jeżeli w ten sposób ukaże w sobie nową wartość, zdobędzie uznanie u tych, którzy mają mniej doświadczenia życiowego i chętnie słuchają głosu prawdziwej mądrości.

Taka mądrość wieku dojrzałego jest czymś zupełnie innym niż bystra inteligencja lub wielki nawet magazyn informacji. Nie można nauczyć się jej z książek ani nabyć jej w szkołach lub na uniwersytetach, można ją tylko nabyć w doświadczeniu życiowym, w czasie długich lat wzrostu i dojrzewania.

Świat potrzebuje jej bardziej niż ja-

kichkolwiek pożytecznych energii, które prą do przodu. Mądrość, która przechowuje wartościowe elementy tradycji, pełni również bardzo pożyteczną funkcję wobec świata. A któż może jej mieć więcej niż człowiek dojrzały, który — możemy się na to zgodzić — przeszedł już w znaczeniu fizycznym szczyt swego życia. Spokojna dobroć, mądra cierpliwość i pogodny uśmiech dojrzałego człowieka może być dla innych zachętą i pokrzepieniem.

Wyzwalający wpływ oderwania się od świata i od siebie oraz bardziej swobodne i właściwe spojrzenie na rzeczywistość oczyma wiary pięknie przedstawia Paul Claudel w pierwszej scenie sztuki *Atlasowy trzewiczek*. Pokazuje tam jezuickiego misjonarza, który sam jeden tylko pozostał przy życiu na wraku statku, zniszczonego doszczętnie przez piratów. Przywiązany do słupa głównego masztu unoszony jest przez fale wzburzonego oceanu, zdany zupełnie na łaskę żywiołu. Bliski śmierci tak zaczyna swój ostatni monolog.

„Panie, dziękuję Ci za to, że zostałem tak właśnie przywiązany. Czasami Twoje nakazy wydawały mi się przykre, a wola moja zdawała się nie wiedzieć, jak postąpić, i buntowała się przeciw Twemu pra-



wu. Lecz teraz już nie mógłbym być bliżej Ciebie, niż jestem. Chociaż gwałtownie miotają mną fale, nie mogę nawet na cal oddalić mnie od Ciebie. I tak przykuty jestem istotnie do krzyża, ale krzyż, na którym wiszę, nie jest przywiązany do niczego. Płynie po falach oceanu”.

Ta wzruszająca scena jest obrazem sytuacji, w której znajduje się starzejący się człowiek, gdy już przybliży się do końca swych dni. Bez gruntu pod nogami, przywiązany do krzyża, lecz krzyż do niczego nie jest przywiązany i płynie w dal. Jezuita na rozbitym statku w sztuce Claudelawie, że wkrótce utonie, a mimo to — oderwany od lądu i życia — odnajduje w wierze nowe miejsce schronienia i pokoju. Z reszty monologu przebija wielkoduszna gotowość i całkowite oderwanie się od siebie. Wie, że musi utonąć, ale wie i to, że utonie w ramionach swego Ojca niebieskiego. Toteż może zapomnieć o swoim losie i zatroszczyć się w swej ostatej modlitwie o swego błądzącego brata Rodryga, bohatera sztuki. Czyż nie jest to największy tryumf chrześcijańskiej wiary, że człowiek, nawet w obliczu własnej śmierci, może się wznieść ponad siebie sa-

me go i skierować się w miłości do swych braci, ludzi?

Niektórzy męczennicy japońscy, idąc na miejsce stracenia, tak dalece zapominali o zagrażającej im bezpośrednio śmierci, że w ostatnich jeszcze chwilach starali się przekazać radosne prawdy wiary ludziom stojącym na drodze. Nauczyli się tego, oczywiście, od swego Mistrza, który wisząc na Krzyżu nie skarżył się na własne cierpienia, lecz raczej troszczył się o los innych: Matkę swą powierzył apostołowi Janowi, dobrego łotra pocieszył obietnicą raju, a za tych, co Go ukrzyżowali, modlił się, dodając, że „nie wiedzą, co czynią”.

### *Problem samotności*

Dla wielu ludzi borykanie się ze starością oznacza borykanie się z problemem samotności. Dla wdów i wdowców prze-rażająca świadomość życia samotnego staje się często przeżyciem bardzo przygnębiającym. Współczesna literatura od Sartre'a do Williamsa roi się od ludzi starszych, których ściga powszechnie widmo samotności.

Bardzo wielu starszych mężczyzn i kobiet przyznaje się, że najtrudniejszym do

zniesienia cierpieniem jest uczucie samotności. Ich starzy przyjaciele i przyjaciółki odeszli już do wieczności i jak to jeden osiemdziesięcioletni mężczyzna trafnie powiedział, nie ma już nikogo, kto powiedziałby do niego przyjaźnie: „Jak się masz, Kaziu?”. Dzieci wyprowadziły się i chcą prowadzić własne życie. Przerwy między ich odwiedzinami stają się coraz dłuższe. A z biegiem lat coraz trudniej zdobyć nowych przyjaciół. Obawa, by nie być dla kogoś intruzem, powstrzymuje od wyjścia i poszukiwania na własną rękę nowych znajomych. Jeżeli choć raz spotkał kogoś zawód, staje się on niepewny i zaczyna wątpić we własną wartość i użyteczność: czy ludzie chcą jeszcze ze mną rozmawiać? czy jestem im potrzebny? czy w ogóle chcą mnie jeszcze tolerować? Usuwają się zatem i niejedną noc spędza na gorzkich rozważaniach nad swoją samotnością. Ci ludzie doskonale rozumieją to, co Tennessee Williams kładzie w usta jednej z postaci sztuki *Orfeusz w piekle*: „Wszyscy jesteśmy mocno zaryglowani od wewnątrz. Możesz powiedzieć, że jesteśmy skazani na więzienie w samotnej celi wewnątrz naszych ciał”.

Tymczasem starzejący się człowiek nie

powinien łatwo kapitulować w obliczu samotności. Powinien raczej starać się być przystępnym dla innych, utrzymać kontakt z kolegami i w miarę możliwości nawiązywać nowe przyjaźnie.

Konkretnym na to sposobem może być np. regularne odwiedzanie ludzi starszych, którzy żyją w samotności i cenią sobie zapewne towarzystwo ludzi. Zajęcie się jakimiś posługami dla innych jest często najlepszą drogą do przezwyciężenia własnej samotności i odwrócenia uwagi od swych własnych cierpień. Działające w Ameryce Kluby Złotego Wieku są dla wielu starszych ludzi wspaniałym terenem nawiązywania znajomości i zdobywania nowych przyjaciół, a w rezultacie osładzania sobie goryczy własnej samotności.

Gdy już ktoś nie może opuścić domu, pozostaje jeszcze pisanie listów, które innym mogą przynieść promień nadziei i radości w ich zamknięciu, a sobie nie pozwolić na całkowite odizolowanie się. Starszy przyjaciele i znajomi mogą już nie otrzymywać tak wielkiej poczty jak dawniej i dlatego są wdzięczni za kilka słów z okazji imienin, świąt czy jakiegoś jubileuszu. Również telefonowanie do star-

szych ludzi może ich doskonale rozerwać i osłodzić im ich własną samotność.

Człowiek, który usiłuje na rozmaite sposoby być na usługach innych i okazywać im życzliwe zainteresowanie, będzie musiał samotnie spędzić niejeden dzień, lecz żadnego dnia nie spędzi w goryczy osamotnienia.

Może jednak tak się zdarzyć, że starszy człowiek dojdzie do tego stanu, zwłaszcza w czasie choroby, że łączność z innymi będzie już niemożliwa, i poczuje się całkowicie odizolowany i osamotniony. Są to chwile, kiedy nie ma już nikogo, do kogo można by się zwrócić, prócz Boga. Wówczas dobrze jest pamiętać, że nasz Pan dobrze rozumie, co znaczy samotność. Nikt bowiem nie przeżył samotniejszej agonii niż Jezus Chrystus w ogrodzie Getsemani, nikt też bardziej nie doświadczył całkowitego osamotnienia niż Zbawiciel na Krzyżu.

Doświadczenie samotności nie może być doświadczeniem negatywnym. Owszem, pustka odczuwanej samotności może otworzyć serce ludzkie i uzdolnić je do przyjęcia obecności Boga, który lubi przemawiać w ciszy. Samotność może być błogosławieństwem. Doświadczenie samotności

ci może zerwać z człowieka nałożone nań maski i zmusić go do odsłonięcia swojej własnej osobowości. To może pogłębić jego wiarę i nakłonić go do szukania bardziej osobistego stosunku z Bogiem.

W gorzkich godzinach samotności jedynym promieniem nadziei i pociechy może być myśl o Boskiej obecności. Wbrew wszelkim pozorom człowiek ostatecznie nigdy nie jest samotny, jeżeli Bóg jest w nim zawsze. Pogłębienie wiary i świadomości obecności Boga z nami może jako błogosławiony skutek przynieść całkowite wypełnienie pustych godzin starości. Człowiek albo przekroczy samotność w nowym, osobistym spotkaniu z Bogiem, albo ulegnie tej agonii, która w skrajnym przypadku może doprowadzić do ostatecznej rozpacz. Przez naszą samotność Bóg często zwraca na siebie samego uwagę i nawiązuje z nami nową i głębszą więź.

Nawiązując do tego chciałbym teraz krótko opowiedzieć o swoim własnym przeżyciu w dżungli wietnamskiej. Pracowałem tam jako reporter i któregoś dnia zabłądziłem w rozległej dżungli. Bezskutecznie próbowałem się z niej wydostać. Nigdy przedtem nie byłem tak całkowicie odcięty od jakiegokolwiek ludzkiej isto-

ty. Nagle ciszę dżungli przeszył grzechot karabinu maszynowego. Padłem na ziemię. Kto to jest? Wrogowie czy przyjaciele? Kilka minut przedtem z utęsknieniem szukałem ludzi. Teraz bliskość ludzi, do których nie mogłem podejść, zaostrzyła tylko we mnie uczucie całkowitej samotności. Czekałem z twarzą w błocie i nawet nie ośmieliłem się ruszyć palcem.

W tej chwili całkowitego osamotnienia przypominałem sobie słowa, które jako młody chłopiec często powtarzałem bez głębszego zrozumienia:

Kto się w opiekę odda Panu swemu,  
A całym sercem szczerze ufa Jemu,  
Śmieie rzec może: Mam obrońcę Boga,  
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.  
Ciebie On z łowczych obieży wyzuje  
I w zaraźliwym powietrzu ratuje;  
W cieniu swych skrzydeł zachowa cię  
wечно,  
Pod Jego pióry uleżysz bezpiecznie.  
Stateczność Jego tarcz i puklerz mocny,  
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,  
Na żadną trwogę dbaj ani na strzały,  
Którymi sieje przygoda w dzień biały.  
Stąd wedle Ciebie tysiąc głów poleże,  
Miecz nieuchronny ciebie nie dosięże,  
A ty zdumiały oczyma swoimi  
Niechybną pomstę ujrzysz nad grzesznymi.  
Aniołom swoim każe cię pilnować,

Gdziekolwiek stąpisz, będą cię piastować  
Na rękę nosić, abyś idąc drogą  
Na ostry kamień nie ugodził nogą.

Obecność Boga i Jego opiekuńcza opatrność, tak pięknie wyrażone w psalmie 90, stały się wtedy dla mnie tak rzeczywiste i tak pełne mocy, że sam w nieprzyjaznej dżungli, otoczony zewsząd niebezpieczeństwem, poczułem, że jestem tak blisko Niego, jak nigdy przedtem.

W bolesnych chwilach samotności i opuszczenia dobrze jest mieć pod ręką jakieś piękne teksty Pisma św., które zapewniają dzieci Boże o Bożej obecności wśród nich. Rozważając je pogłębiamy świadomość, że ostatecznie nigdy nie jesteśmy opuszczeni. Pisma św. bardzo często mówi o tym, że nasz Bóg jest blisko nas. Św. Paweł mówi do Ateńczyków: „Bo w rzeczywistości jest On niedaleko od każdego z nas. Bo w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28). Gdy prorok Jeremiasz przerażony nie chce podjąć się misji, którą Bóg chce mu powierzyć, Pan dodaje mu otuchy i pociesza go myślą o swej obecności: „Nie lękaj się ich, bo jestem z tobą, żeby cię ochronić” (Jr 1, 8). Jozue otrzymuje zapewnienie od Pana: „Bądź mężny i mocny! Nie bój się i nie



lękaj, ponieważ z tobą jest Jahwe, twój Bóg, wszędzie, gdziekolwiek pójdziesz” (Joz 1, 9).

Historia przyjścia Chrystusa na ten świat opowiada nam o nowym zbliżaniu się Boga: „porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel, to znaczy Bóg z nami” (Mt 1, 23). Jedną z najbardziej wzruszających wypowiedzi o ojcowskiej obecności Boga, o Jego serdecznej trosce o każdego człowieka, wypowiedź, która wzbudziła nadzieję i odwagę w milionach ludzkich serc, jest zapisana w księdze Izajasza: „Czyż może niewiasta zapomnieć o swoim niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, ja nie zapomnę o tobie” (Iz 49, 15). Ostatnie zaś słowa Zbawiciela do apostołów podkreślają Jego wieczną obecność: „A oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata” (Mt 28, 20). Gdy Bóg jest z nami, nikt nie powinien się czuć opuszczony i samotny.

Wielka mistyczka, Katarzyna ze Sieny, powiedziała raz, że mogłaby spędzić całe dni na kontemplacji jednego tylko zdania z wyznania wiary: „A królestwu Jego nie będzie końca”. Każdy z nas może trafić na jakąś modlitwę czy zdanie z Pisma

św., które w chwilach samotności i opuszczenia będzie mu pomocą.

### *Skrucha i odrodzenie*

Ludzie po pięćdziesiątce lubią już spojrzeć wstecz i patrząc w przeszłość ocenić dawne swoje życie. Lubią robić zestawienia osiągnięć i strat, powodzeń i niepowodzeń. W rozmowach stwarzają obraz swego życia pełen sukcesów i pomyślnych momentów. Wszyscy znamy chełpliwe monologi ludzi starszych, którzy rozkoszują się przeżywaniem dawnych wyczynów i raczają swoich znajomych barwnym obrazem nieskazitelných rekordów i samych tylko zwycięstw. Ale gdy tylko zostaną sami ze sobą i gdy już nie mogą przybrać maski, by zachować twarz lub chełpić się sobą, i spojrzą na swoje rzeczywiste życie w świetle zbliżającej się wieczności, uświadamiają sobie przeważnie z bólem, jak głęboka zaistniała przepaść między ich ideałem z młodości a rzeczywistymi osiągnięciami. Jeżeli są uczciwi wobec siebie samych, to przypomną sobie, jak często bezużytecznie rozpraszały swoje siły, nie wykorzystywali dobrych okazji, popełniali wiele pomyłek i sprawiali zawody swoim

wspólnotom i rodzinom. Całe ich przeszłe życie ukazuje się prawie jak niedokończony i niemożliwy do rozpoznania dzieło rzeźbiarskie. Sami widzą w nim niektóre punkty dobre i wykończone — i tak jest na pewno, ale świadomość wielu błędów i pomyłek sprawia, że powstaje w nich też uczucie niezadowolenia i rozczarowania. I jeżeli człowiek chce uniknąć wprowadzenia w błąd samego siebie, musi dopuścić do siebie uczucie prawdziwej winy, ponieważ często postępował samolubnie, nie okazywał miłości swoim współbraciom — ludziom i często odmawiał im swojej obecności gdy potrzebowali jego pomocy.

Nieuspokojone poczucie winy za dawne czyny i grzeszne zaniedbania stwarza często psychiczne niepokoje w umysłach starszych. Jeżeli natychmiast nie żałowali za stracone dni, jeżeli w nieskończoność powtarzały się uczynki krzywdzące ludzi, wówczas okrutna pamięć nie pozwala na spokojny sen i stawia przed oczyma duszy te niegodziwe czyny, które do tej pory mogły drzemać stłumione w głębiach podświadomości przez wiele lat.

Kiedy się czyjekolwiek życie ocenia

patrząc na nie w przeszłość, można zawsze przeżyć rozczarowanie, bo któż może powiedzieć o sobie, że jego życie upłynęło bez grzechu? Każdy człowiek musi swoją przeszłość dopełnić życiem obecnym i częścią tego zadania będzie niezrządkiem uczciwe uświadomienie sobie tłumionej przez lata winy.

W poprzednim rozdziale widzieliśmy, że jeżeli człowiek starszy ostatnie swoje lata traci na przeżywaniu i wspomnianiu swoich sukcesów w przeszłości, popełnia godny dziecka błąd. Ale równie niepożyteczne byłoby postępowanie odwrotne, gdyby człowiek ostatnie swe lata spędził na bezowocnym przeżuwanie swoich win i uginaniu się pod ciężarem wyrzutów sumienia. Psychologowie i psychiatrzy mówią nam, że obie skrajności są niestety dość często spotykane wśród starszych ludzi i stwarzają poważne kłopoty, których można by uniknąć, gdyby ludzie uczciwie i szczerze dochodzili do zgody ze swoją przeszłością.

Max Scheler we wspaniałym eseju *Skrucha i odrodzenie* trafnie ujmuje problem dawnej winy. Zaczyna od pytania, czy dawne czyny dadzą się teraz odrobić, czy niegodziwe czyny z przeszłości można

wymazać z pamięci. Wydaje się, że upływanie czasu jest procesem nieodwracalnym i że to, co przeszło, już powrócić nie może. Jest to z pewnością prawdziwe twierdzenie, póki się myśli o czasie obiektywnym, w którym zachodzą zdarzenia fizyczne. Ale inaczej rzecz się ma z czasem ludzkim. Istnienie człowieka nie jest podobne do rzeki, która przepływa i nie może zawrócić, nie może odmienić tej części, którą już przepłynęła, i należy do przeszłości. W przeciwieństwie do ciągłego przepływania natury nieożywionej, która zna tylko jeden wymiar i jeden kierunek, człowiek na szczęście posiada władzę nad znaczeniem i wartością swoich dawnych czynów. Nie może zmienić fizycznego faktu, że jakiś czyn został przez niego dokonany, nie może też zmienić zewnętrznych skutków swego działania. Może natomiast odmienić jego znaczenie i wartość. Każde wydarzenie w naszej przeszłości pozostaje w jakiś sposób nieokreślone w znaczeniu, niedopełnione w wartości i zawsze do odkupienia. W każdym momencie życia cała przeszłość człowieka jest dla niego zawsze obecna i podlega jego władzy. Przez akt skruchy może człowiek anulować jakość złego czynu w przeszłości i wycisnąć na

nim nowe znaczenie i nową wartość. Przez skruchę człowiek na nowo ocenia część swej przeszłości i wykreśla dla niej nową wartość i znaczenie. Czas ludzki różni się od czasu obiektywnego tym właśnie, że nie jest związany z jednokierunkowym prądem natury nieożywionej. Człowiek zawsze może wkroczyć w swoją przeszłość i zawładnąć nią. Robi to właśnie przez żal i skruchę. Żal to wielka potęga odradzająca człowieka i najbardziej rewolucyjna siła w świecie moralnym. Toteż przez żal może człowiek istotnie rozciągnąć władzę nad wartością swych przeszłych czynów, może usunąć winę z życiowego wnętrza swej osobowości, scalić ją i doprowadzić się do moralnego, duchowego i religijnego odrodzenia. W opinii ogólnej skrucha bywa często przedstawiana jako zwykły bezsilny żal lub pełne przykrości spojrzenie wstecz na dawne błędy. Dla Schelera skrucha jest czymś więcej: jest ona wielkim paradoksem, w którym człowiek zwraca się z mocą ku swej przeszłości, by zniszczyć zły charakter swych dawnych czynów, a jednocześnie wykonuje radosną pracę dla przyszłości, dla wyzwolenia, odnowy i odrodzenia.

Te głębokie myśli filozoficzne Schelera

wymagają uzupełnienia teologią skruchy i odrodzenia w sakramencie pokuty. Fakt, że tu właśnie znajduje się rozwiązanie problemu przeszłej winy, nadaje jeszcze bardziej tragiczny charakter zjawisku, że tyłu ludzi starszych cierpi pod nieznośnym ciężarem niedoskonałej i nie odkupionej przeszłości.

Tymczasem Chrystus zapewne chętnie powtórzy słowa skierowane do ewangelicznej jawnogrzesznicy: „Odpuszczają ci się twoje grzechy” (Łk 7, 48), jeżeli tylko człowiek zwróci się do niego z żalem i miłością. Do każdego z nas odnoszą się i te słowa Jezusa, które wypowiedział w ostatni wieczór przed swą zbawczą męką: „Smutek wasz zamieni się w radość, ...a radości waszej nikt wam nie zdoła odebrać” (J 16, 20, 22). Niektórzy ludzie czują to, że w starości osiągają intensywniejszą jedność z Bogiem, gdy ochotnie przystępują do naprawy swych błędów z przeszłości. Kościół świadom jest tego aspektu winy i grzechu i w jednym ze swych wzruszających hymnów używa paradoksalnego wyrażenia: „szczęśliwa wina” i dodaje: „O! zaiste konieczny był grzech Adama... O szczęśliwa wina, która zasłużyłaś na tak wielkiego Odkupiciela”. Istotnie, pełne ta-

jemnicy są te słowa hymnu Wigilii Wielkanocnej.

### *Osiągnięcie pełni*

Jednym z radosnych i podnoszących na duchu doświadczeń wielu starszych ludzi jest wzrastająca świadomość, że ich duch może jeszcze odnosić sukcesy, chociaż opuszczają ich siły fizyczne. Psychologowie i powieściopisarze często opisują proces pozbawiający starego człowieka sił fizycznych tak jednak, że te straty wynagradza on sobie możliwością korzystania z wewnętrznych rezerw sił ukrytych w najgłębszych pokładach ducha.

Wszystkim znane jest zapewne ogólne prawo psychologiczne, według którego upośledzenie fizyczne lub doznanie porażki w jakimś jednym zakresie może działać jako silny bodziec dla osiągnięcia wyrównania strat w innej dziedzinie, w tej mianowicie, w której człowiek może mieć bardzo wielkie sukcesy. Np. młoda dziewczyna, której natura nie obdarzyła urodą, przyjmuje to jako wyzwanie i usiłuje wyrównać te straty, wybijając się w nauce lub sporcie. W tej dziedzinie może prze-



wyższać wszystkie nawet bardzo urodziwe koleżanki.

To samo prawo wyrównania stosuje się do wieku starczego. Doświadczenie zmniejszania się i ubytku sił starzejący się człowiek może przyjąć jako wyzwanie. Upośledzenie, nieszczęścia osobiste, zawody — wszystko to może działać jako bodźce i podniety, rozbudzać wewnętrzne i twórcze siły, które mu pomogą odkryć w sobie i udoskonalić nowe wartości swego człowieczeństwa. Tak klęska obróci się w zwycięstwo.

Jednym z najsmutniejszych zjawisk w starości jest to, że wielu ludzi wydaje się nie uświadamiać sobie nawet władzy swojej duszy nad starzejącym się ciałem i dlatego nigdy nie dochodzi do rozwinięcia ukrytych mocy ich wewnętrznej istoty. Wydaje się, że istnieją dwie drogi rozwoju ludzkiego życia. W jednym wypadku krzywa umysłu idzie za krzywą biologiczną, co sprawia, że człowiek może dożyć sędziwej starości, ale jego życie z trudem tylko można będzie nazwać ludzkim. Umysł i jego władze są uśpione, a człowiek stary zaledwie wegetuje bez radości i bez zdawania sobie sprawy z osiągniętej pełni człowieczeństwa. W drugim

przypadku władze psychiczne i duchowe pozostają aktywne i w wysokim stopniu sprawne, tak że mogą w tym okresie życia rodzić się oryginalne myśli i powstawać wielkie dzieła sztuki. Goethe okazał głęboką wnikliwość, gdy twierdził, że człowiek w młodości żyje dzięki swemu ciału, a w starości musi żyć wbrew ciału.

Istnieją w człowieku ukryte moce i siły które zaczynają się rozwijać dopiero wtedy, gdy fizyczne energie ciała zaczynają się umniejszać. W okresie pełni sił i sprawności człowiek zazwyczaj tak bardzo skupia się na energiach, których potrzebuje do zabezpieczenia sobie warunków życiowych, że pewne głębsze władze jego umysłowego życia pozostają niedorozwinięte. Starość stwarza odpowiednie warunki do odkrycia i rozwinięcia owych wewnętrznych głębi. Systematyczne praktykowanie rozważań i kontemplacji może w dużym stopniu pomóc w odkopaniu i wykorzystaniu owych skarbów, które spoczywają w głębi ludzkiej osobowości. Rozważania i kontemplacji nie można się szybko nauczyć, ale gdy się je w końcu zdobędzie, opłacają się stokrotnie.

W związku z tym przypominam sobie kilka przypadków, kiedy to po udzieleniu

sakramentu chorych ludzie starzy nie tylko doświadczali mocy wewnętrznej, ale też odzyskiwali zdrowie ciała. Psychosomatyczne związki są jeszcze mało znane, ale wydaje się rzeczą niewątpliwą, że między duchową siłą człowieka a jego fizycznym zdrowiem istnieje bardzo ścisła łączność.

Jeżeli starość udana lub nie udana zależy tak bardzo od tego, czy ktoś może pozostać intelektualnie żywotny wbrew wzrastającym niedomaganiom ciała, to sprawą najwyższej wagi powinno być przygotowanie do starości przez rozwój psychicznych, intelektualnych i duchowych władz do granic możliwie najwyższych. Pewien gerontolog powiedział ostatnio, że wychowanie młodzieży w duchu intelektualnie twórczym i przygotowującym ją do większej dojrzałości psychicznej będzie większym wkładem w rozwiązanie problemu starości niż zakładanie Klubów Złotego Wieku. U wielu starszych ludzi pustka, która się nagle pojawia w momencie odejścia w stan spoczynku, była w rzeczywistości zjawiskiem stałym, ale przykrytym nieustanną krzątaniną i pracą. Rozbudzenie zamiłowania do intelektualnych dociekań i zasmakowanie w nich — w sztuce, muzyce, literaturze i życiu religij-

nym — to poważny krok w przygotowaniu się do owocnej starości. A jeśli chodzi o sztuki piękne, to nawet gdyby ktoś nie umiał ich do tej pory doceniać, nie powinien łatwo rezygnować, bo w tym wypadku prawie nigdy nie jest za późno. Jakiś dobry nauczyciel i trochę cierpliwości — i wyniki mogą być zadziwiające.

W dziedzinie psychologii bardzo pożyteczne mogą się okazać poglądy C. G. Junga. Według niego człowiek pracuje i żyje zazwyczaj tylko połową swoich psychicznych możliwości, podczas gdy druga połowa pozostaje niewykorzystana i zapomniana. Dawniejsze pokolenia były zupełnie nieświadome zadziwiających głębi ludzkiej istoty, które zostały odkryte dopiero w ostatnich dziesiątkach lat. Ale również i dzisiaj ludzie przeważnie wydają się żyć jedynie małą częścią swojej psychiki, a całe obszary ich potencjalnego wnętrza pozostają zaniedbane i zapomniane. Goldbrunnen tak o tym mówi: „Wiele pokojów w przybytku naszej duszy pozostaje zamkniętych i nigdy się ich nie otwiera”.

Powstaje zatem pytanie: czy jest to słuszne, żebyśmy kontynuowali pracę tylko połową naszych talentów, jeżeli odkryliśmy owe olbrzymie, okryte rezerwy

energii wewnątrz naszej istoty? Czy nie istnieje tu moralny obowiązek wykorzystania nie zużytych jeszcze energii duszy, by w ten sposób dążyć do osiągnięcia psychicznej pełni? Powiedzielibyśmy, że chociaż człowiek postępuje racjonalnie, wykorzystując w pierwszej połowie swego życia tylko część swej psychicznej energii, to w drugiej połowie życia zachodzi potrzeba sięgnięcia po ukryte rezerwy. A powód, dlaczego wielu ludzi nie dochodzi nigdy do pełni człowieczeństwa lub dlaczego w starości ludzie ulegają rozkładowi wskutek pustki i nudy, leży właśnie w tym, że nigdy nie odkryli potencjalnych energii, ukrytych głęboko w ich duszy.

Według Junga wykorzystanie tej nowo odkrytej sfery psychicznej ma istotne znaczenie zarówno w osiągnięciu psychicznego zdrowia, jak i w realizacji sensownej egzystencji ludzkiej. Integracja świadomych części duszy oraz osiągnięcie rozwiniętej pełni psychicznej jest według C. G. Junga nie tylko problemem czysto psychologicznym, lecz także wymogiem moralnym.

Jeszcze raz chcemy to podkreślić, że nigdy nie jest za późno na rozwijanie nie-

wykorzystanych talentów swej osobowości, nawet gdy ktoś już odszedł na emeryturę. Cierpliwość i pogodny optymizm mogą dokonać cudów!

### *Późne osiągnięcia*

Mówiliśmy już o tym, że każdy człowiek żyje w trojakim naraz czasie: chronologicznym, biologicznym i psychologicznym. Według kalendarza człowiek może być starcem, a według czasu psychologicznego jeszcze młodzieńcem.

Jeżeli rozglądniemy się w historii, spostrzeżemy, że dla wielu wielkich i znanych mężczyzn i kobiet czas chronologiczny i biologiczny nie był żadną przeszkodą, a często był nawet bodźcem do przyjęcia wyzwania i dokonania wielu wielkich dzieł.

Nawet starożytni Grecy znali ten fakt, że chociaż fizyczne pragnienia i doznania zmniejszają się z wiekiem, to jednak otwierają się nowe horyzonty w królestwie wartości duchowych. Platon w dialogu *O państwie* wprowadza starego już Kefalosa, który wita się z Sokratesem i opowiada mu o swym nowym zamiłowaniu do poważnych dyskusji nad zasadniczymi zagadnieniami życia: U mnie — mówi Ke-

falos — gdy zamierają przyjemności cielesne, jednocześnie wzrasta pragnienie przyjemności płynącej z dobrej rozmowy.

Nikt nie powinien rezygnować ze swoich planów tylko dlatego, że kartki kalendarza wskazują na niemłody już wiek. Przykład wielu sławnych ludzi, którzy dokonali wielkich rzeczy już u schyłku swego życia, może być podniętą do wysiłku, by pozostawać zawsze człowiekiem psychicznie młodym.

Wiele wybitnych dzieł literackich, artystycznych i naukowych powstało w bardzo zaawansowanym wieku. Grecki dramaturg, Sofokles, miał już 60 lat, gdy pisał *Króla Edypa*. Goethe kończył *Fausta* mając już lat osiemdziesiąt. Daniel Defoe chwycił się wielu różnych zawodów, a do pisania *Robinsona Cruzoe* zabrał się w 59 roku życia. W następnych pięciu latach napisał jeszcze pięć powieści. Emmanuel Kant *Krytykę czystego rozumu* wydał mając lat 57. Michał Anioł miał już 70 lat, gdy kończył bazylikę św. Piotra. Verdi, Haydn i Händel po siedemdziesiątce tworzyli swoją nieśmiertelną muzykę. Rembrandt i Monet pod koniec życia malowali niektóre z najlepszych płócien, a Yeats wtedy właśnie pisał najlepsze swoje

działa. Einstein i Schweitzer byli aktywni nawet w podeszłych latach. Franciszek Mauriac opowiadając o powstaniu swojej najlepszej powieści, powiedział między innymi: „W osiemdziesiątą rocznicę urodzin powiedziałem sobie: Skoro, jak im się wydaje, jeszcze mi daleko do śmierci, dlaczego nie miałbym napisać nowej książki?” Napisał więc ostatnią swą wybitną powieść *Maltaverne*. Wyszła ona drukiem w roku 1969, gdy autor miał już 83 lata, i stała się we Francji bestsellerem.

W polityce możemy wskazać na takich ludzi, jak Churchill, Gandhi, Gladstone, De Gaulle, Adenauer, którzy mimo podeszłego wieku odgrywali decydującą rolę w życiu politycznym swych narodów. Gladstone został premierem w 84 roku życia. Adenauer został wybrany kanclerzem Niemiec Zachodnich w roku 1949, gdy miał już 63 lata, a zrezygnował z urzędu dopiero w 77 roku życia.

W wielu dziełach literackich spotykamy się z osobami, które w średnim wieku osiągnęły jedynie skromne wyniki, albo nawet przeżywały niepowodzenia, ale po długiej walce osiągnęły w starości prawdziwą wielkość. Sigrid Undset w powieści *Krystyna córka Lawransa* przedstawia



cztery etapy życia bohaterki powieści. Najpierw jest ona szczęśliwym dzieckiem, następnie zbuntowaną córką, potem zawiedziona i zgorzkniała żoną. Dopiero pod koniec życia w wielkich cierpieniach dochodzi do prawdziwej wielkości i niezwykłych wyzyn heroizmu jako kobieta i jako chrześcijanka.

Niektórzy ludzie w obliczu zbliżającej się starości ukazują zupełnie nowe cechy swego człowieczeństwa i wydobywają na jaw skarby dotychczas głęboko ukryte. Niekiedy w ostatnich latach dochodzą wprost do rozkwitu życia.

Dwa piękne przykłady takiego późnego rozkwitu w obliczu starości i śmierci znajdujemy w powieści Morrisa Westa *Adwokat diabła* i we wspaniałym japońskim filmie *Życie*.

Główną postacią powieści Westa jest angielski prałat, który całe życie spędził przy biurku jednej z watykańskich kongregacji. Błazej Meredith jest człowiekiem dobrym, ale ma bardzo zimne usposobienie: jest zdyscyplinowany, bez namiętności, systematyczny i lubiący porządek. W jego charakterze brak miejsca na współczucie, prawdziwe zrozumienie radości i zmartwień, namiętności i ludzkiego bólu.

Pewnego dnia Meredith zrozumiał, że grozi mu śmierć. Jest śmiertelnie chory na raka, pozostało mu tylko pół roku lub rok życia. Tymczasem zostaje wysłany do pewnej wioski włoskiej jako tzw. „adwokat diabła”, żeby ze względu na przygotowywany proces kanonizacyjny zbadać heroiczność cnót i życia Giacomo Nerone'a. Od tej chwili autor przepięknie opisuje stopniową przemianę zimnego, wysuszonego i oderwanego od życia biurokraty w żarliwego, wyrozumiałego i oddanego sprawie kapłana. Meredith zaczyna rozumieć zasadniczą prawdę, że człowiek, który nie kocha innych ludzi, nie kocha też Boga. Ten człowiek, który w swoim życiu był zawsze pedantyczny, zamknięty w sobie i na wszystko obojętny, który za niczym nie tęsknił, staje się teraz — w ostatnim roku życia — żywym uczestnikiem podniosłych chwil i smutnych wydarzeń, miłości i cierpień ludzi z małej wioski. Pod koniec powieści sam problem, czy Giacomo Nerone był rzeczywiście święty i czy powinien być kanonizowany, staje się zupełnie nieważny. Ważna staje się wspańska przemiana Błażeja Mereditha: przed śmiercią zajaśniał on bogactwem swego człowieczeństwa, o którym przedtem mo-

że nawet nie myślał. Opuścił Rzym jako pedantyczny biurokrata, mając serce wypełnione jedynie kurzem ze stosów papieru. Teraz umiera jako współczujący, czuły i ludzki kapłan. *Adwokat diabła* powinien być obowiązującą lekturą dla tych wszystkich, którzy zbliżają się do starości.

Japoński film *Życie*, którego reżyserem jest znany producent Kurosawa, uznany został przez wielu krytyków za największy film, jaki kiedykolwiek powstał. Jest to przejmujący dramat starszego człowieka, który przez całe życie o to tylko zabiegał, żeby mieć jakieś znaczenie. Nagle dowiaduje się, że jest chory na raka i że pozostało mu najwyżej pół roku życia. Całe życie spędził jako urzędnik magistracki, ale teraz uświadamia sobie, że ten jedyny sukces jego życia właściwie jest bardzo niewielkim sukcesem. Teraz, gdy koniec jest już bliski, zaczyna usilnie poszukiwać jakiegoś sensu w życiu. Osłabiony już przez chorobę, w desperacki sposób usiłuje w tym ostatnim półroczu swego życia uczynić coś dobrego dla innych ludzi. Z całych sił, jakie mu jeszcze pozostały, usiłuje mimo wielu trudności stawianych przez miejscową biurokrację przeprowadzić projekt budowy ośrodka sportowego.

I ośrodek został rzeczywiście zbudowany, a dzieci z sąsiedztwa znalazły się w nowym ogródku dziecięcym. W ostatnim półroczu stary biurokrata przemienia się stopniowo w żywą, ludzką istotę, która z całą troską i miłością zwróciła się ku innym. W ostatniej scenie widzimy go, jak siedzi na huśtawce w ogródku dziecięcym i huśtając się powoli tam i z powrotem mruczy jakąś melancholijną piosenkę. I tam umiera. *Życie* jest głęboko wzruszającym filmem o agonii i zwycięstwie starego, umierającego człowieka. Jego ostatnie półrocze istnienia stało się potężną afirmacją życia, miłości i prawdziwych wartości.

### *Lęk i strach*

Lęk i strach to groźba i wyzwanie starości wobec wszystkich ludzi. Strach przed chorobą i śmiercią, przed finansową niepewnością i stopniową utratą przyjaciół, przed trudnościami w życiu seksualnym, przed społeczną izolacją i osamotnieniem — oto obawy i zmartwienia kryjące się w zakamarkach umysłów i serc wielu starzejących się ludzi. Obawy te bywają

zazwyczaj uzasadnione i mogą powodować cały łańcuch nękających reakcji, które zamieniają pewnego siebie niegdyś człowieka w jedno kłębowisko podejrzeń, udręczeń i lęków.

Teologizujący filozof, Kierkegaard, odróżnia pojęcie lęku i strachu. Strach odnosi się do określonego i specyficznego przedmiotu, np. do węża lub choroby: przedmiot ten jest przyczyną strachu. Lęk natomiast to nieokreślony i niesprecyzowany bliżej nastrój bez konkretnego przedmiotu. Ludzie starsi przeżywają raczej lęki niż strach. Jest to ogólny nastrój wątpliwości, niepewności i zmartwień bez jasnych i zdecydowanych powodów. Człowiek czuje się zagrożony w samym rdzeniu swego istnienia.

Strach i lęk mają dwojaki charakter: mogą paraliżować i niszczyć, jeżeli człowiek pozwoli się im opanować. Mogą też być bardzo zbawienne, jeżeli człowiek przyjmuje je we właściwy sposób i potrafi je kontrolować.

Destrukcyjna siła strachu i niepokoju została przedstawiona bardzo dobitnie w japońskim filmie *Żyję w strachu*. Starszy pan, prezes towarzystwa przemysłu stalowego w powojennej Japonii, popada nagle

w przerażenie, że jego kraj zostanie zmieciony z powierzchni ziemi przez bombę atomową. Ulega stopniowo tej obsesyjnej myśli i najpierw swoją rodzinę usiłuje przekonać o zagrażającej katastrofie. Zamierza sprzedać fabrykę i przenieść się do Ameryki Południowej, ale powstrzymuje go właśnie rodzina, która obawy jego uważa za nieuzasadnione i odrzuca jego pomysły. Stary człowiek jednak jest do tego stopnia opanowany przez strach, że w końcu sam podpala fabrykę i niszczy ją doszczętnie, byleby tylko zmusić rodzinę do ucieczki za granicę. We wzruszającym wyznaniu przyznaje się do swych motywów: „Boję się, straszliwie się boję, jestem bezradny wobec mego strachu. Nic nie poradzę. Całe moje życie stało się żyjącym piekłem”.

Strach i lęk może jednak w życiu człowieka odgrywać także rolę pozytywną. Może obudzić człowieka z letargu i zmusić go do skonfrontowania swego własnego ja z jego uwarunkowaniami i słabościami, a także z jego nadzwyczajnymi możliwościami. W młodości, gdy kontrola nad władzami fizycznymi jest większa, człowiek polega może za bardzo na sobie samym i nie uświadamia sobie dostatecznie, że

jest ograniczony i że ostatecznie zależy od Boga. Lęk pojawiający się w starości może człowieka doprowadzić do jasnego uświadomienia sobie swej rzeczywistej sytuacji, mianowicie że jako istota stworzona i ograniczona istotnie stoi nad brzegiem straszliwej przepaści, przed którą broni go i zachowuje jedynie potęga wiecznego stwarzania Bożego. Strach i lęk mogą być zatem bardzo pożytecznym przeżyciem dla człowieka, wyzwaniem do konfrontacji z sobą samym. Kierkegaard posuwa się aż do tego, że pogardza tymi, którzy chełpią się, że nigdy nie doświadczają strachu, ponieważ oznacza to, jego zdaniem, że tacy ludzie nie zaczęli jeszcze egzystencji naprawdę ludzkiej. Lęk bowiem rodzi się z uświadomienia sobie własnej wolności i jest zjawiskiem właściwym człowiekowi jako osobie. Doświadczanie lęku zatem może być pojęte jako cierpienie w obliczu wolności. Kierkegaard widzi w przeżywaniu strachu wybitnie pozytywny proces, konieczny do tego, by człowiek mógł przekroczyć granice spraw dnia dzisiejszego i wznieść się ponad nie. W tym sensie może on mówić, że doświadczanie strachu jest przygodą, którą każdy człowiek musi przeżyć, jeżeli ma uniknąć

zagłady, i że człowiek, który nauczył się poprawnie przeżywać strach, nauczył się rzeczy bardzo doniosłej.

Kierkegaard przytacza z aprobatą tekst Hamanna i opisuje lęk jako wyraz jakiegoś braku, który broni nas przed miłością do świata. Czujemy jakiś niepokój i nostalgę, i to staje się dla nas ogniem i solą, która chroni nas przed rozkładem uchodzących lat. Człowiek może tylko wówczas przewyciężyć lęk, gdy powierzy się miłościwej opatrności Boga, a strach z powodu winy pokona tylko wówczas, gdy odda się pokucie.

Współczesna literatura przedstawia lęk jako zjawisko zbawienne. Suchą teorię Kierkegaarda ożywiła i udramatyzowała w swoich powieściach Gertruda von le Fort, a potem Georges Bernanos. Von le Fort w powieści *Ostatnia na szafocie* przedstawia francuską dziewczynę z czasów rewolucji. Blanka jest pełna przerażenia i gdy chce wstąpić do zakonu, mniszki wahają się i obawiają się ją przyjąć właśnie ze względu na jej nadmierną lękliwość. Zdecydowana pewność siebie u zakonnic w obliczu grożącego im męczeństwa z rąk rewolucjonistów ostro kontrastuje z niepewnością młodej nowicjusz-



ki. Przeżycie własnej słabości i związanych z nią udręczeń prowadzi Blankę stopniowo do głębszej pokory i powierzenia się Bożej Opatrzności. Ze słabości wyrasta moc i siła łaski Bożej. I tak zgodnie z teorią Kierkegaarda jej lęk dzięki wierze przemienia się w przeżycie bardzo zbawienne. I kiedy gromadka kilkunastu karmelitanek ostatnią swoją drogę kończy na szafocie, Blanka uwalnia się nagle z więzów strachu i niepewności i odważnie występuje z anonimowego tłumu przyglądających się tej scenie ludzi. Podejmuje śpiew *Veni Creator* w tym miejscu, w którym śmierć przerwała go jej siostrze i odważnie przyjmuje męczeństwo z rąk rozhisteryzowanych rewolucją kobiet.

Bernanos jest autorem scenicznej wersji tej powieści. To *Dialogi karmelitanek*, których myśl przewodnią doskonale oddano w tytule niemieckiego przekładu: *Die begnadete Angst — Błogosławiony lęk*. Ten tytuł można uznać za najgłębsze ujęcie chrześcijańskiej interpretacji lęku; dla wierzącego lęk jest błogosławionym i zbawiennym przeżyciem: rzuca człowieka w ręce Boga.

## *Opanowanie niepokoju*

Zmartwienia i niepokoje to chyba najpospolitsze udręki wielu ludzi starych. Niepokoją się oni o swoją przeszłość, dręczą się terażniejszością i oczywiście martwią się o przyszłość. Wielu nawet dobrych chrześcijan nie zdaje sobie sprawy z tego, że wiara może ich uwolnić od wielu niepotrzebnych zmartwień, które sprawiają, że ich obecne życie jest o wiele trudniejsze, niż być powinno. Zapytałem kiedyś starego konwertytę japońskiego, co go najbardziej w chrześcijaństwie pociągało i co mu otworzyło drogę do wiary. Bez wahania przytoczył mi słowa Chrystusa z Kazania na górze: „Nie troszcie się zbytnio o swoje życie, o to, co macie jeść i pić, ani o swoje ciało, czym się macie przyodziać” (Mt 6, 25). I dodał: „Straciłem niezmiernie wiele czasu w życiu martwiąc się o wiele rzeczy. Nigdy nie mogłem się czuć swobodny i wolny, ponieważ zawsze się o coś niepokoiłem. Martwiłem się o pracę, o zdrowie, o swoje dzieci, o przyszłość, o starość. Przeczytałem kiedyś ów urywek z Kazania na górze o Bożej Opatrzności, która troszczy się nawet o ptaki w powietrzu i o lilie na polu. Poczułem

się nagle jakoś uspokojony i wolny od moich obaw i lęków, gdy pomyślałem, że Bóg troszczy się o mnie. Uświadomiłem sobie, że na skutek tych wiecznych zmartwień życie moje stało się jednym pasmem udręceń”.

Czy my wszyscy nie martwimy się zbyt wiele, i to o rzeczy niepotrzebne? Chrystus chce, żebyśmy byli Jego radosnymi wyznawcami, nie ponurakami jakimiś, którzy obnoszą się ze swoimi problemami i kłopotami. Pokazuje nam też, jak można się uwolnić od udręk i strapień. Potęgą wyzwalającą jest sam Jezus Chrystus: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i uczcie się ode mnie, bo jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych” (Mt 11, 28—29). Św. Piotr pojął dobrze głębię tej prawdy o opatrnościowej trosce Boga i wyzwalającej trosce Chrystusa, kiedy pisał: „Wszystkie troski wasze przerzućcie na Niego, gdyż Jemu zależy na was” (1 P 5, 7). Gdy zwrócimy się do Niego z wiarą, ufnością i nadzieją i nawiążemy z Nim bezpośredni i bliski kontakt, będziemy mogli poznać, jak bardzo spieszy nam

z pomocą w dźwiganiu naszych ciężarów i jak wyzwala nas od naszych cierpień.

### *Wypadki nieoczekiwane*

Często przyczyną kryzysów u starszych ludzi są niespodziewane wypadki. Nie są przygotowani na nie i w rezultacie każdy zawód napęła ich goryczą, od której czasami nigdy już nie potrafią się uwolnić. Do końca życia opowiadają każdemu, kto tylko chce ich słuchać, jak straszną wyrządzono im krzywdę. Głównym winowajcą jest czasem sam wszechmocny Bóg i Jemu niekiedy przypisują swoje niepowodzenia i smutny los.

Georges Bernanos w *Pamiętniku wiejskiego proboszcza* zostawił nam klasyczny obraz kobiety czującej żal do Boga za to, że zupełnie niespodziewanie umiera jej syn. W gwałtownym dialogu ze swoim proboszczem hrabina zuchwale wyznaje, że nigdy tego Bogu nie zapomni, że zabrał jej syna. W swoim rozżaleniu nienawidzi tego, kogo uważa za odpowiedzialnego za śmierć syna. Zatruta tym gorzkim uczuciem, wyrzeka się córki i niemal doprowadza ją do samobójstwa. Kapłan

rozumiejąc mękę tej udręczonej kobiety, spokojnie tłumaczy jej, że można podnosić rękę na Boga, pluć na Jego twarz, biczować Go i nawet ukrzyżować, ale to nie będzie miało żadnego znaczenia, ponieważ już raz Mu to wszystko zrobiono. U kresu swego życia hrabina ostatecznie dochodzi do przekonania, że „prawdziwym piekłem jest nie kochać już drugiego”. Przez swój żal i nienawiść odizolowała się od Boga i stworzyła na ziemi własne piekło. Ale nawet dla niej ostateczną odpowiedzią są niezapomniane słowa, które kończą *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*: „Wszystko jest łaską”. Łaska Boża przełamuje ostatecznie twardą skorupę jej zgorzkniałego serca i rozpala na nowo żar miłości.

W szpitalach można czasem usłyszeć skargę starszych ludzi: Cóż ja takiego uczyniłem, że mnie to spotyka? Ci ludzie są przekonani, że Bóg ich karze za jakieś grzechy. Ale z objawienia Bożego w Nowym Testamencie wiemy z całą pewnością, że nasz Bóg nie jest Bogiem szukającym pomsty. Chrystus cierpiał więcej niż jakikolwiek inny człowiek i z całą pewnością nie zasłużył sobie na to. Jakaż kobieta wycierpiała więcej niż Matka Chrystusa, a przecież Maria nie uczyniła nic ta-

kiego, czym by na to sobie zasłużyła. Największe cierpienia na tej ziemi zostały przyjęte dobrowolnie z miłości.

Wielu ludzi opowiada mi swoje „historie”, jak to Bóg ich skrzywdził albo inni ludzie, i obawiam się, że ci ludzie wcho-  
dzą w swoją starość z błędnym nastawie-  
niem i niedostatecznym zrozumieniem  
sprawy. Ich pojęcie o Bogu jest bardzo  
ludzkie. Wydaje się, że wiara jest dla nich  
jakimś odpowiednikiem ubezpieczalni spo-  
łecznej: chodzę regularnie na msze nie-  
dzielne, daję na tacę, odmawiam codzien-  
ny pacierz — i w zamian za to Bóg ze  
swej strony powinien zatroszczyć się, by  
wszystko poszło dobrze i by moje ostatnie  
lata były całkowicie pogodne i niezmaćo-  
ne.

Zazwyczaj ludziom życie nie upływa  
w ten sposób. Ci, którzy szczerze usiłowali  
służyć Bogu przez całe życie, bywają wy-  
jątkowo wystawiani na nieoczekiwane pró-  
by w starości. Wiemy o tym doskonale  
choćby z historii sprawiedliwego Joba.  
Słuszną postawą i właściwym przygotowa-  
niem — jeżeli można się na to przygo-  
tować — jest niezłomna wiara, że Bóg jest  
absolutnym Panem i Ojcem, który lepiej  
wie niż my, co dla nas jest najlepsze.

Bóg wzywa Abrahama, by opuścił swój rodzinny kraj i ruszył w kraj obcy, gdzie czekała nań nieznana i niepewna przyszłość. Abraham był już człowiekiem starszym, gdy otrzymał wezwanie od Boga. „Jahwe rzekł do Abrama: Wyjdź z Twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę... Abram udał się w drogę, jak mu Jahwe rozkazał... Abram miał siedemdziesiąt pięć lat, gdy wyszedł z Haranu... I wyruszyli, aby się udać do Kanaanu” (Rdz 12, 1—5). W życiu Abrahama Bóg był również absolutnym Panem i Jego wola była czynnikiem decydującym przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji.

Zapewne wielu ludzi może powiedzieć, że nigdy tego naprawdę nie doświadczyli, by Bóg był z nimi, tym mniej, by Bóg przemawiał do nich jak do Abrahama. Abraham jednak zestarzał się już, zanim Bóg wezwał go do wypełnienia zasadniczego zadania. Jeżeli ludzie starsi będą mieć na tyle cierpliwości, by żyć z wiary i w otwarciu na Boga, to rozpoznają Jego wezwanie w wielu wypadkach i sytuacjach, w których dawniej byli zupełnie głusi na to wezwanie. Bóg zaś niekiedy będzie żądał od nich bardzo trudnych rzeczy. Czy

wówczas będą mieli wiarę i męstwo Abrahama?

### *Ból i cierpienie*

Starość stwarza człowiekowi jedyną w swoim rodzaju możliwość głębokiego uczestniczenia w męce i zmartwychwstaniu Chrystusa. Człowiek starszy w jakiś intensywniejszy sposób urzeczywistnia to, co na mocy powołania powinien urzeczywistniać przez całe życie każdy chrześcijanin: uczestniczy w męce Chrystusa i w Jego odkupieńczych cierpieniach, daje świadectwo i dzieli zmartwychwstanie i chwałę Chrystusa. Człowiek starszy przeżywając swoje utrapienia, w jakiś sposób nowy i głębszy doświadcza prawdy słów Chrystusa: „Jeśli ziarno pszenicy upadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity” (J 12, 24). Dla człowieka wierzącego dolegliwości i cierpienia związane ze starością są tak samo dotkliwe i realne, jak dla każdego innego. Lecz wie on o tym, że Chrystus nie obiecał nikomu rajy na ziemi. Odwrotnie, zapowiedział np. Piotrowi, co go czeka, gdy się zestarzeje: „Po-



wiadam ci: Gdy byłeś młodszy, opasywałeś się i sam chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz” (J 21, 18). Wielu mężczyzn i wiele kobiet doświadcza tego z całą przykrością, że nie mogą iść tam, gdzie by chcieli, a muszą iść tam, „gdzie nie chcą”.

Niekiedy zdarza się i tak, że ludzie przeżywają swoją starość w ogromnym osamotnieniu, tak że nawet myśl o Boskiej Opatrzności nie przynosi im żadnej pociechy, ponieważ wydaje się im, że Bóg się od nich odsunął i milczy. Katolicki pisarz japoński, Shusako Endo, opisuje takie cierpienia w powieści *Milczenie*. Sam tytuł nawiązuje do milczenia Boga w obliczu najwyższych cierpień ludzkich. Opisuje on męczarnię katolików japońskich, których w czasie wielkiego prześladowania na początku wieku XVII wieszano na szubienicach głową w dół i opuszczano w śmierdzące doły kloaczne. Niektórzy wytrzymywali te męki przez kilka dni i nocy. Było to świadectwo wiary ponad siły ludzkie, a jednak nawet mimo widocznego zupełnego „milczenia” Boga wielu męczenników wytrzymało w wierze aż do śmierci.

Wielu ludzi starszych przeżywa takie

chwile, że osamotnienie i fizyczne cierpienia wydają się im naprawdę nie do zniesienia. Pracując jako kapelan w jednym z nowojorskich szpitali, często spotykałem takich ludzi i najbardziej wzruszające było ich heroiczne męstwo, z jakim znosili to, co uchodziło za nie do zniesienia. Jednym z zasadniczych motywów i źródłem siły dla tych osób jest przekonanie, że cierpienie może mieć wielką wartość dla zbawienia innych ludzi, jeżeli jest dobrowolnie przyjęte i znoszone w łączności z cierpieniami Chrystusa. Ta wspaniała myśl św. Pawła może być ogromną pociechą dla chorego i cierpiącego człowieka. Skierowanie uwagi człowieka na miłość ogarniającą innych ludzi jest może najlepszym sposobem przezwyciężenia własnej nędzy i smutku.

Nie zapomnę nigdy owej chwili w nowojorskim szpitalu, gdy pewna starsza pani, chora na raka, wyjaśniła mi, co znaczą dla niej następujące zdania św. Pawła: „Ale gdy znosimy udreki — to dla pociechy i zbawienia waszego” (2 Kor 1, 6) i „Teraz się raduję w cierpieniach za was” (Kol 1, 24). Dodała, że te dwa teksty „nadają mej chorobie głębokie znaczenie. Mogę ofiarować swoje cierpienia za in-

nych ludzi i w ten sposób pomóc im w osiągnięciu zbawienia. Ograniczona do czterech ścian tej sali szpitalnej, mogą jednak spieszyć z pomocą innym ludziom, by doszli do wiary i mogli cieszyć się nadzieją i radością obiecaną przez Jezusa Chrystusa tym, którzy w Niego uwierzyli. Jednocześnie to powolne umieranie, na jakie skazała mnie moja choroba, stało się dla mnie łatwiejsze, odkąd dostrzegłam tę wielką wartość w cierpieniu”.

Przeżywanie cierpienia w starości osiąga najgłębsze znaczenie wtedy, kiedy się je pojmuje i przyjmuje jako współudział w agonii Chrystusa w Getsemani i na Krzyżu. Całe życie chrześcijanina jest kroczeniem Jego śladami, ale wydaje się, że wielu chrześcijan dopiero w starości powołanych jest do pełnego udziału w cierpieniach, jakie Chrystus znosił w ostatnich dniach swego życia na ziemi.

Chrystus doznał goryczy osamotnienia i udręki zbliżających się doń cierpień w ogrodzie Getsemani do tego stopnia, że wołał: „Ojcze, jeśli to możliwe, niech odejdzie ode mnie ten kielich” (Mt 26, 39). Św. Łukasz jako lekarz odnotowuje zjawisko, które w całej pełni ujawnia głębię Chrystusowej udręki: „Pogrążony w udrę-

ce jeszcze usilniej się modlił, a Jego pot był jak gęste krople krwi, sączące się na ziemię” (Łk 22, 44). A dalej te bolesne słowa na Krzyżu: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił” (Mt 27, 56). W udręce swej śmierci i męki Chrystus doświadcza w najwyższym stopniu całej ograniczonej i słabości ludzkiej natury. Ale przez całą tę słabość i udrękę przebija silnie blask i majestat Bóstwa: „Wszakże nie jako ja chcę, ale jak Ty” (Mt 26, 39). Oraz: „Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego” (Łk 23, 46).

Przeżywane cierpienia są dla starszego człowieka wspaniałą okazją do zdobycia głębszego zrozumienia bólu i męki Chrystusa, uczestniczenia w ostatnich chwilach jego życia na ziemi i konsekwentnie dają mu przedsmak zmartwychwstania i nowego życia (por. Flp 3, 10—11).

Chrześcijanin zdaje sobie sprawę ze ścisłej łączności między cierpieniem a chwałą, między męką a zmartwychwstaniem, mimo że jego starość może rzeczywiście być agonią życia. Św. Piotr tak to ujmuje: „Starszych więc, którzy są wśród was, proszę ja również starszy, a przy tym świadek Chrystusowych cierpień oraz uczestnik tej chwały, która ma się obja-

wić” (1 P 5, 1). Ostatecznie starzejący się chrześcijanin wie, że jego starość nie jest końcem, lecz początkiem, że poza ciemnościami śmierci świeci jutrzeńka nie kończącego się nigdy życia.

### *Odnajdywanie radości*

Niektóre formy i rodzaje radości i szczęścia, charakterystyczne dla wieku młodszego, w starości nie mają już tak pociągającej siły. Inne znów są już całkowicie nieosiągalne. Np. zawody sportowe, wymagające wielkiej siły fizycznej i sprawności, podróże, młodzieńcza miłość — to wszystko mogło być źródłem radości i szczęścia w młodości, a dla starszych ludzi staje się tylko wspomnieniem. Byłoby to prawdziwe nieszczęście, gdyby ktoś ze starszych ludzi marzył tylko o takich radościach, które teraz są dla niego już nieosiągalne. Przez całe życie należy rozbudzać zrozumienie dla nowych rodzajów radosnych przeżyć. Człowiek jest stworzony do radości i musi mieć radosne przeżycia, jeśli chce pozostać w pełni ludzką istotą. Wielu starszych ludzi niepotrzebnie utrudnia sobie życie, zamykając oczy na wiele dobrych rzeczy, które Bóg im daje w tym właśnie okresie życia.

Każdy na swój sposób musi odszukać właściwe swemu wiekowi radosne przeżycia. Dla jednych może to być pokolenie wnuków, które może stać się źródłem pociechy i zadowolenia. Inni mogą rozwijać swe zainteresowania w sztuce, muzyce i literaturze lub z radością podziwiać wspałałość i piękno Bożego stworzenia. Także zdrowa duma z osiągnięć życiowych może przynosić wielu ludziom uczucia zadowolenia i satysfakcji. Wielu ludzi z dużym pożytkiem dla siebie uczęszcza na wykłady Pisma św. organizowane przy wielu parafiach i kościołach. Często wskutek regularnego czytania Pisma św. ludzie starszy odkrywają w nim rzeczywiście „radosną nowinę”, lepiej je rozumieją i głębiej poznają. Rzeczywiście, przecież wyraz „ewangelia” oznacza „dobrą radosną nowinę”. Dlatego też kto czyta ewangelię bez uczucia radości, nie czyta jej w tym duchu i w tym celu, w jakim została napisana.

Każdy starszy człowiek powinien pozytywnie pracować nad tym, by budzić radość, starając się być przystępnym dla innych w sposób miły i nie narzucający się. Jest zdumiewające, jak wiele radości przynosi prosty wysiłek, by być miłym dla in-

nych i przystępnym dla tych, którzy tego potrzebują. Ponieważ starsi ludzie na ogół odczuwają na żywo i przyjmują z wdzięcznością każdą okazaną sobie życzliwość, są też zdolni okazać tę życzliwość i delikatność wobec innych i dzięki temu mogą w tym znaleźć nowe źródło radości i zadowolenia.

Bóg chce mieć z nas radosnych chrześcijan. Jest to jedno z zasadniczych wrzeń, jakie odnosimy z częstego czytania Nowego Testamentu. Bóg angażuje w to całą swoją wszechmoc, by przelać w nas swoją nieskończoną radość. Chrystus stale i często wskazuje na opatrzność swego Ojca w niebie, by uwolnić nas od wszelkiej trwogi i lęku. Zachęca nas, byśmy się zbyt nie martwili, zwłaszcza o rzeczy doczesne, przyziemne. Nawet w przeddzień swej męki i śmierci zaznacza jeszcze, że życie chrześcijanina powinno być radosne: „To wam powiedziałem, aby radość moja w was była i aby radość wasza była pełna” (J 15, 11). Św. Paweł, wierny interpretator Mistrza, bezustannie powtarza, że wiara — to radosne głoszenie „dobrej nowiny”. Radość jest dla św. Pawła znakiem, że wiara jest prawdziwa: radość jest owocem Ducha Świętego. „Radujcie

się w Panu zawsze: powtóre mówię: radujcie się (Flp 4, 4). Można by myśleć, że Paweł tyle piszący o radości i weselu musiał się czuć bezpieczny, a w pewnym sensie wolny od wszelkiej udręki i bólu. Jednak Pawłowi nie było obce ludzkie cierpienie. Znał dobrze ponurą rzeczywistość życia zaszczutego i prześladowanego. Słowa o radości w Panu nie były pisane pod zielonym drzewem pewnego pięknego wiosennego poranka w Rzymie, ani przy biurku w wygodnie urządzonej sypialni, ale w ponurej celi więziennej, gdzie Paweł oczekiwał na rozprawę sądową (Flp 1, 12—16). Paweł głęboko pojął istotę posłannictwa Chrystusowego i dlatego mógł pisać o wspaniałym paradoksie chrześcijaństwa, że wiara napełnia jego serce radością nawet wśród największego opuszczenia, udręki i bólu.

### *Dojrzewanie wiary*

Z biegiem lat człowiek na niektóre sprawy, które dawniej uważał za pewne, zaczyna patrzeć inaczej, a nawet je podważać. Jego praca, zdrowie, możliwości życia seksualnego, zabezpieczenie ekonomiczne — wszystko to nagle staje się mniej stabilne



i trwale niż w latach ubiegłych. Nie powinno być wielką niespodzianką i to, że w dziedzinie wiary i religii zaczynają się pojawiać wątpliwości i wahania. Ostatecznie wiara w większym lub mniejszym stopniu wchodziła w cały wątek życia, a teraz w okresie starzenia się stawia się nad całym życiem znak zapytania. Problem jest poważny, jeżeli wiara przez całe życie dostatecznie nie rozwinęła się i nie dojrzała. W takim wypadku pytania o sens życia się w starości tym bardziej natarczywe.

Starzejący się człowiek musi przejść w całkowicie nowy etap swego życia, a jeżeli wiara jest częścią składową tego życia, musi też się pogłębić i dojrzeć na tym etapie.

Niektórzy ludzie, którzy przez całe życie żyli zgodnie ze swoją wiarą, przerażają się, kiedy w starości zaczynają przeżywać jej kryzys. Nie dostrzegają tego, że Bóg daje im ten kryzys jako sposobność do tego, by ich wiara przechodząc poprzez wątpliwości ostatecznie dojrzała i przepoiła się miłością. Wiara nie zawsze daje wewnętrzne odczucie pociechy i radości, a często wiedzie człowieka poprzez krainę ciemności i mgły.

Ze swojej młodości pamiętam nastę-

pujące zdarzenie. Uważam, że jest ono dobrym obrazem tego, jak my przeżywać powinniśmy swoją wiarę.

Będąc na studiach w Monachium spędzałem raz wakacje z grupą kolegów w Alpach szwajcarskich i austriackich. Pewnego dnia postanowiliśmy wejść na szczyt Mt. Scheseplana w Austrii, mający około 2438 metrów wysokości. O godzinie 5 rano wyruszyliśmy w drogę. Podchodząc coraz wyżej weszliśmy w morze gęstej mgły. Mgła była tak gęsta, że ścieżkę można było rozpoznać zaledwie na kilka metrów przed sobą. Szczytu oczywiście nie było widać wcale. Za każdym razem gdy przystawaliśmy, by odpocząć, padało coraz mniej słów i w oczach każdego można było wyczytać rosnące wątpliwości: czy jest sens iść dalej? Czy w ogóle dojdziemy do szczytu? A jeśli nawet dojdziemy, to czy warto się męczyć, jeśli na szczycie będzie taka sama mgła? Jedyłą gwarancją były słowa przyjaciela, który poprzedniego dnia powiedział nam, któredy mamy iść, by dojść na szczyt i zobaczyć piękno Alp.

Chociaż zniechęceni i wyczerpani, szliśmy dalej. I wówczas stało się coś nieoczekiwanego. Przebrnęliśmy przez ćmę gęstej mgły i znaleźliśmy się ponad pułapem

chmur. Nad nami świeciło niczym nie przesłonięte, oślepiające słońce. Do wierzchołka góry nie było już daleko. Wokół nas roztaczał się wspaniały widok na majestatyczne, śniegiem okryte szczyty Alp. Znaleźliśmy się w bajkowej krainie cudownego piękna, którego nie da się porównać z niczym, cokolwiek do tej pory widzieliśmy. U naszych stóp zaś rozciągało się morze gęstej mgły i zakrywało ciemną masą alpejskie doliny, mniejsze szczyty i wzgórza.

Kiedykolwiek potem myślałem o tym zdarzeniu w górach, widziałem w nim zawsze obraz naszego życia z wiary. Nam również przychodzi niekiedy brodzić długie lata w ciemnościach duchowych, i ani celu nie widzimy, do którego zmierzamy, ani żadnego potwierdzenia jego rzeczywistości — prócz jedynie niezawodnych słów Jezusa Chrystusa, w którego wierzymy.

Do naszych serc wkradają się wątpliwości: ścieżka jest czasami bardzo stroma, a my sami jesteśmy zmęczeni i wyczerpani. Spoglądamy w dół ku naszej czysto naturalnej egzystencji i odczuwamy pokusę, by zrezygnować i zawrócić z drogi. Czy nie wystarczy nam żyć w tych doli-

nach? Jeżeli tak mało wiemy o tym, co nas czeka na szczytach naszej wiary, czy ma jakikolwiek realny sens cały wysiłek dążenia w górę? Zdecydowane „tak” mimo wszelkich wątpliwości to głos naszej najgłębszej natury, która przynagla nas do wspinania się dalej i mówi o tym majestatycznym pięknie, które całkowicie przewyższa najwyższe nasze oczekiwania. Św. Paweł mówi, że oczekują nas „rzeczy, których ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce ludzkie nie wstąpiło co Bóg przygotował dla tych, którzy Go miłują” (1 Kor 2, 9).

Przeżycia ciemności i oschłości, opuszczenia i bardzo mglistych chwil mogą mieć doniosłe znaczenie dla naszej wiary. Godziny ciemności mogą się czasem przyczynić do wzmocnienia naszej wiary. Gdybyśmy zawsze doświadczali głębokiej radości w naszych modlitwach, w czasie mszy św. i w całym naszym życiu duchowym, to nie byłoby trudno być człowiekiem religijnym. Bóg jednak daje nam sposobność do sprawdzenia naszej miłości ku niemu w godzinach opuszczenia i osamotnienia. Dlatego dozwala nam chodzić w cieniach mgły i chmur przy świetle samej tylko wiary. Św. Paweł dobitnie podkreśla

różnicę między obecnym życiem a przyszłym: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno, wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz” (1 Kor 13, 12).

Nasz stosunek do Boga jest w wielu wypadkach podobny do stosunku do ludzi. Jeśli ktoś nas kocha i otacza nas szacunkiem, odpowiedź na taką miłość nie przychodzi nam trudno. Nie kosztuje nas to wiele wysiłku i nie dowodzi też, że nasza miłość posiada jakąś głębię. Kiedy jednak wybuchnie kryzys i nie czujemy już ani ciepła, ani serca kochającej i ukochanej osoby, kiedy wyłonią się nieporozumienia i minie wszelka radość pierwszych dni miłości, wówczas mamy stosowny czas sprawdzić, czy nasza miłość ma właściwą głębię.

Nasza wiara w Boga podlega również podobnym procesom wzrostu i dojrzewania w różnych etapach. Kryzys wiary może się stać wielką wartością dla nas. Rzuca nam wyzwanie, by zdobywać się na nowe, osobiste decyzje, by wiarę uczynić osobistym przekonaniem i zaangażowaniem się.

Nieraz kryzys wiary oznacza po prostu, że za długo pozostawaliśmy na poprzednim etapie rozwojowym naszego życia. Na

każdym stopniu naszego życia musimy na nowo angażować się w Jezusa Chrystusa, albo lepiej musimy odnawiać nasze podstawowe zaangażowanie się w Niego w świetle nowych doświadczeń życiowych każdego z nas.

Wydaje się, że starość posiada wyjątkowe znaczenie dla wzrostu i rozkwitu naszej wiary. Końcowy kryzys wiary może przynaglić człowieka do wysiłku, by osiągnąć pełną dojrzałość wiary i miłości. Miałem szczęście spotkać się z kilku wspaniałymi wierzącymi ludźmi, którzy przeszli przez okropne walki wewnętrzne w ostatnich już tygodniach swego życia. Nawet taka wielka św. Teresa z Lisieux przeszła przez okrutną wprost męczarnię wątpliwości i niepewności, ciemności wewnętrznych i opuszczenia, i to jeszcze na swoim śmiertelnym łożu. Jej siostry były przerażone, gdy słyszały od tak świętej istoty żałosne wyznanie, że jest „opętana przez najgorsze pokusy przeciw Bogu”. Wydaje się, że Bóg często stwarza pewnym ludziom w ostatnich dniach ich życia sposobność do heroicznego wzrostu we wierze i miłości.

## *Odnajdywanie wartości*

Dla człowieka starego jednym z głównych problemów jest przerażająca myśl, że w starości właściwie nie ma już po co żyć. Stopniowo dochodzi do jego świadomości, że może pewnego dnia już nie będzie potrzebny więcej ani w miejscu swojej pracy, ani w swojej rodzinie, ani w społeczeństwie. Ze wzrostem świadomości ubytku sił fizycznych i umysłowych wzrasta obawa, że człowiek stanie się nieużyteczny i niepotrzebny, że dla innych będzie tylko ciężarem. Kto prowadził bardzo czynny tryb życia, walczył o wielkie cele i dał się tym sprawom pochłonać, będzie przerażony, gdy nagle — z chwilą odejścia w tzw. stan spoczynku — uświadomi sobie, że nie ma nic do roboty i że jego życie straciło wszelki sens i wartość. Wskutek tej pozornej pustki i bezcelowości życia w starości wiele osób nabawia się nerwic i rozmaitych stanów patologicznych.

Jednym z najsmutniejszych zjawisk naszych czasów jest gwałtowny wzrost ilości samobójstw. Myśli o samobójstwie przychodzą ludziom do głowy właśnie wówczas, gdy nie widzą oni w życiu żadnego celu. Że wśród ludzi starszych jest wiele

frustracji i rozpaczy, widać to chociażby z samych tylko statystyk. We Francji na 100 tysięcy ludzi poniżej 55 lat samobójstwo popełnia 51 osób, powyżej 55 lat już 158. W Rep. F. N. najnowsze badania statystyczne wykazały, że na każde 100 tysięcy ludzi co roku samobójstwo popełnia 21 osób; wśród sześćdziesięciolatków odbiera sobie życie 55 mężczyzn. Dwa razy więcej kobiet popełnia samobójstwo w wieku 50—55 lat niż wieku 30—35 lat. A przy tym zauważył ktoś na zimno, że próby samobójstwa u starszych ludzi są prawie zawsze skuteczne. To samo zjawisko powtarza się w Anglii i w Stanach Zjednoczonych: procent samobójstw wzrasta ze wzrostem wieku. W Anglii trzy razy więcej mężczyzn odbiera sobie życie w wieku 40—59 lat niż poniżej 40 lat, a powyżej lat 60 liczba ta wzrasta pięciokrotnie. W Stanach Zjednoczonych na sto tysięcy mężczyzn rasy białej 39 popełnia samobójstwo w wieku 45—65 lat. Wśród tych, którzy ukończyli 65 rok życia ilość samobójstw wzrasta i szczyt osiąga po siedemdziesiątce. Wtedy to na każde sto tysięcy ludzi życie sobie odbiera 60 osób.

Jak ważną jest rzeczą umiejętność odnalezienia nowych wartości w starości,



wykazała tzw. Trzecia Wiedeńska Szkoła Psychoterapii, posługując się terapią dra Wiktora Frankla. Poglądy dra Frankla na psychologiczne znaczenie sensu i wartości w życiu odnoszą się do wszystkich grup wieku, wydaje się jednak, że szczególniejszy związek mają z okresem przejściowym już przed samą starością.

Frankl odrzuca zarówno teorię Freuda, że siłą napędową człowieka jest jego energia seksualna, jak i poglądy Adlera, według którego siłami napędowymi są fundamentalne dążenia ludzkie. Frankl podkreśla, że raczej poszukiwanie sensu życia trzeba uznać za ideę przewodnią i najbardziej podstawowe dążenie. Logoterapia (a 'logos' u Frankla to tyle samo co 'znaczenie') ogniskuje się na znaczeniu ludzkiej egzystencji i stara się pomóc pacjentowi w odnalezieniu sensu jego życia. Frankl, który sam przeszedł przez piekło Oświęcimia, chętnie przytacza słowa Nietzschego: „Kto wie, dlaczego ma żyć, potrafi przetrzymać wszystko”.

Człowiek, który wie, dlaczego ma żyć, zdobył taki pogląd na życie, który musi mieć dobroczynny wpływ na całe jego zdrowie psychiczne. Z drugiej zaś strony jeżeli człowiek nie widzi żadnego sensu w

życiu, przeżywa jedynie frustracje, wewnętrzną pustkę i „egzystencjalne vacuum”, jego zdrowie psychiczne jest narażone na wielkie niebezpieczeństwo.

Ogrom tego problemu widoczny jest w wielu przejawach egzystencjalnej pustki w naszej epoce: nuda, „uczulenie niedzielne”, alkoholizm, narkomania, przestępczość młodocianych, wewnętrzny kryzys ludzi w wieku emerytalnym i w starości. Chorobliwe poszukiwanie sensu znajduje ujście w przesadnym dążeniu do znaczenia w świecie, wyrażającym się często np. w gromadzeniu pieniędzy, albo nawet w niezwyklej gonitwie za przyjemnościami seksualnymi. Podłożem tych wszystkich destruktywnych zjawisk u ludzi jest zawód w odnalezieniu sensu życia.

Każdy człowiek musi znaleźć własną odpowiedź na pytanie: jaki jest właściwie sens życia? Logoterapeuta nie narzuca swego sądu pacjentowi. Samemu choremu pozostawia się odnalezienie sensu jego właściwego życia. Frankl jednak podkreśla, że sens naszej egzystencji, chociaż jedynie dla każdej jednostki, nie może być wymyślony przez nas samych, lecz odnaleziony. Zadaniem logoterapeuty jest poszerzenie pola widzenia u pacjenta i pomoc

w uświadomieniu go o całym rozległym horyzoncie znaczenia i wartości. Nie narzuca się pacjentowi sądów wartościujących, raczej pokazuje się mu w nowym świetle samą prawdę i wielkie bogactwo wartości, jakie kryje w sobie rzeczywistość życia.

Chociaż logoterapia nie ogranicza poszukiwania sensu życia do religijnej jego interpretacji, to w odróżnieniu od Freuda do wiary odnosi się z sympatią i wiarę religijną uznaje za wybitnie wartościową i sensowną orientację życia ludzkiego.

Wielu starszych ludzi wyraża swoje uczucie bezsensowności i bezcelowości w takich np. zdaniach: „Już się do niczego nie nadaję” albo: „Jestem już nieużyteczny i nikomu niepotrzebny”. Podtrzymywanie takich frustracyjnych uczuć będzie miało destruktywny wpływ na poczucie własnej wartości i często będzie stwarzać bardzo poważny kompleks niższości. Starsi ludzie odczuwają psychiczną potrzebę przekonania, że są jeszcze potrzebni i pożyteczni. Pokolenie młodsze i szerokie społeczeństwo powinno uznawać tę potrzebę i dopuszczać, a nawet zachęcać ludzi starszych do tego, by chcieli służyć swej rodzinie czy

społeczeństwu mądrością, doświadczeniem i umiejętnościami.

Konkretne poszukiwanie sensu i celu życia w starości może przyjąć najrozmaitsze formy, zależnie od zdrowia, umiejętności i konkretnej sytuacji życiowej człowieka. Niektórzy ludzie starsi, pełniący jakieś funkcje w domu dorosłych dzieci np. funkcję dopilnowania i wychowywania wnuków — mogą się nie obawiać pustki życiowej, bo znajdują wiele radości i zadowolenia. Wielu ludzi starych czuje się od razu młodszymi, jeżeli ich ktoś poprosi o jakąś radę. Świadomość, że się jest potrzebnym i pożytecznym, podbudowuje ich pomniejszone poczucie własnej wartości i nadaje ich życiu nowe znaczenie i celowość.

Dzisiaj wielu ludzi, zwłaszcza starszych, żyjących w dużych społeczeństwach, nie docenia swojej wartości. Czują, że to, co robią, nie przynosi większego pożytku i że właściwie tylko „grzebią swoje talenty”. My chrześcijanie, zwłaszcza chrześcijanie starsi, możemy dokonać wiele dobrego, możemy ulepszyć ten świat i pomóc innym ludziom do osiągnięcia pełni człowieczeństwa i radości. Prawdziwe i pełne człowie-

czeństwo idzie w parze z dojrzałym chrześcijaństwem.

Aby pokazać, jak bardzo może chrześcijanin zbliżyć Chrystusa do świata i przemienić ludzkie serca, niech mi wolno będzie krótko opowiedzieć o życiu Japonki, której niezwykłego wpływu na innych sam byłem świadkiem w Tokio. Nazywała się Satoro Kitahara. Była córką profesora uniwersytetu i żyła w dzielnicy ludzi raczej zamożnych. Chrześcijaństwo poznała, kiedy była studentką. Chrzest przyjęła w roku 1949, mając 24 lata. Dziwnym zbiegiem okoliczności zapoznała się z gałganiarzami tokijskimi. Ich ciężka praca przekonała ją, że Chrystus ją wzywa, by spotkała się z Nim w osobach tych właśnie nędzarzy. Pożegnała się z dostatnim życiem swojej zamożnej rodziny i przeniosła się w dzielnicę slumsów, aby być jak najbliżej ludzi biednych i cierpiących. Wraz z nią w świat gałganiarzy wstąpiła jakaś radość i nadzieja. Dzieci, szczególnie upośledzone, znalazły w niej oddaną sobie przyjaciółkę. Któregoś dnia, gdy ktoś z tych biednych ludzi zachorował, a cała rodzina jego zaczęła głodować, Kitahara sama wzięła wózek i zaczęła po ulicach zbierać szmaty, by w ten sposób przyjść

z pomocą biednej rodzinie. W końcu ciężka praca okazała się zbyt ciężka dla jej organizmu. Zachorowała na gruźlicę i zmarła w roku 1958, mając 33 lata.

Wspaniała chrześcijańska miłość bliźniego Kitahary podbiła serca Japończyków. Poświęcenie się tej dziewczyny dla kolonii gałganiarzy zrobiło na wszystkich wielkie wrażenie. Wkrótce po jej śmierci nakręcono wspaniały film o jej życiu. W rocznicę jej śmierci telewizja japońska poświęca jej zawsze jakiś dłuższy program, a jej biografia stała się jedną z popularniejszych książek w Japonii. W życiu tej dziewczyny z Tokio miliony ludzi stykają się po raz pierwszy z prawdą chrześcijańskiej miłości.

Gdy pokazałem film o niej studentom uniwersytetu Sophia w Tokio, pewien chłopiec, niechrześcijanin, przyszedł do mnie i powiedział, że chce opuścić swój wygodnie urządzone pokój i zamieszkać wśród tokijskich slumsów, a w wolnych chwilach pracować dla najbiedniejszych dzieci, tak jak ta wspaniała chrześcijańska dziewczyna. Znam przynajmniej pięciu studentów, którzy pod wpływem przykładu Kitahary znaleźli drogę do Kościoła i obecnie są gorliwymi chrześcijanami.

Mimo krótkiego życia Kitahara dała mocniejsze świadectwo o chrześcijańskiej miłości niż większość chrześcijan w okresie dwukrotnie dłuższym. Jej przykład może służyć jako wyzwanie dla ludzi od niej starszych i ukazać im to, czego mogliby dokonać przez autentyczne świadectwo chrześcijańskie. Każdy chrześcijanin może dokonać wielkich rzeczy, wprowadzając na ten świat Chrystusa i ducha Jego miłości.

Franciszek Mauriac, wielki pisarz katolicki zmarły w 1970 roku w 84 roku swego życia, napisał przed śmiercią swój własny nekrolog. Píše w nim między innymi tak: „Wierzę jak za dziecinnych lat, że życie ma sens, ukierunkowanie i wartość, że żadne cierpienie nie idzie na marne, że każda łza, każda kropla krwi jest policzona, że tajemnica świata zamknięta jest w słowach św. Jana: *Deus caritas est* — Bóg jest miłością”.

### *Małżeństwo w starości nowym spotkaniem*

Dla małżonków odejście męża w stan spoczynku może oznaczać albo gwałtowne pogorszenie ich wzajemnych stosunków,

albo początek pełniejszego i bogatszego wspólnego życia. W niektórych małżeństwach przebywanie razem stało się tylko dlatego możliwe, że mąż spędza codziennie dziewięć godzin poza domem. W takim wypadku nawet sama myśl o tym, że po przejściu na emeryturę mąż będzie przebywał cały dzień w domu, może napełniać kobietę przerażeniem. Jeżeli przebywający w domu mąż będzie się wtrącał do spraw kuchennych, na których się nie zna, i zechce zawładnąć tym wszystkim, czym powinna zajmować się jego żona, odejście na emeryturę stanie się nieznośnym piekłem dla obojga, jednym długim pasmem kłótni i swarów, przerywanym jedynie chwilowym zawieszeniem broni lub ponurym zamknięciem się w sobie samym.

Ale życie małżeńskie może się także rozwijać w innym kierunku z chwilą odejścia męża z pracy, może mianowicie uszlachetnić i pogłębić wzajemne stosunki. Tutaj nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na dwa rodzaje międzyosobowej komunikacji, spośród których drugi może okazać się dla ludzi starszych szczególnie owocny i pożyteczny. W naszym społeczeństwie nastawionym jedynie na konkretne osiągnięcia



i cele większość stosunków między ludźmi zachowuje jedynie charakter funkcjonalny lub użytkowy. Przykładem takiego funkcjonalnego stosunku może być zwyczajna transakcja handlowa. W takich sytuacjach jedna osoba ludzka może być wymieniona przez inne. Ale oprócz tych funkcjonalnych stosunków istnieje inny typ relacji międzyosobowych, które w braku lepszego wyrazu nazwijmy stosunkiem egzystencjalnym. Odnosi się on do głębszego przeżycia relacji międzyosobowej, kiedy to dany człowiek jest istotą jedyną i niewymienialną: dwoje ludzi spotyka się między sobą i oddaje się sobie wyłącznie jako indywidualne osoby. Ta egzystencjalna relacja międzyludzka ma tylko jeden cel funkcjonalny: prawdziwe dobro obydwu osób. One to rozbudzają w sobie wzajemnie potencjalne energie i doprowadzają je do pełnego rozwoju. W ten sposób dwie osoby stwarzają w pewnym sensie siebie wzajemnie.

Współczesne społeczeństwo wydaje się prowokować, a nawet zmuszać człowieka w okresie największej jego aktywności do obcowania z innymi ludźmi przeważnie funkcjonalnie, czyli preegzystencjalnie. Człowiek porozumiewa się z innym czło-

wiekiem, by razem osiągnąć wspólny cel, albo też jeden człowiek posługuje się drugim, by osiągnąć swój cel. Nie ma w tym oczywiście nic zdrożnego, jeżeli jeden człowiek nawiązuje kontakt z innymi ludźmi, by osiągnąć jakieś obiektywne cele, które leżą poza zasięgiem obydwu. Ale istnieje niebezpieczeństwo, że te formy funkcjonalnego porozumiewania się staną się jedynym sposobem spotkania jednego człowieka z drugim, a to w rezultacie musi przynieść szkodę tym cechom człowieka, które są dla niego najbardziej typowe. Jedno z poważniejszych niebezpieczeństw współczesnej cywilizacji leży właśnie w tym, że ma ona tendencję, by z delikatnego i przyjemnego, co więcej z powierzchownego obcowania z ludźmi, czyli funkcjonalnych tylko powiązań między ludźmi, uczynić jedyny wzorzec dla wszystkich stosunków międzyludzkich. W ten sposób ludzie wyzbywają się głębszych powiązań wzajemnych, które w pierwszym rzędzie nie powinny być nastawione na delikatne tylko i przyjemne obcowanie z innymi, lecz na ujawnianie się swojemu partnerowi i na płynącym z miłości wyzwaniem go do wyzwolenia wszystkich możliwości kryjących się w bogactwach kontaktów mię-

dzyosobowych. Filozof i psycholog, Karl Jaspers, od którego zapożyczyłem te poglądy, ukazał dużo szerszej rozległe możliwości kryjące się w egzystencjalnym wzajemnym ustosunkowaniu i w walczącej o swe prawa miłości.

Groźbie naszej cywilizacji, nastawionej na rozwój techniki i na osiągnięcia, powinien zaradzić rozwój powiązań egzystencjalnych z innymi ludźmi. Istotną rzeczą jest to, by każdy człowiek dotarł, przynajmniej w niektórych swoich codziennych powiązaniach, do tych głębi, które wykraczają poza granice funkcjonalności i użyteczności, i mógł spotkać się z tym, co w każdym człowieku jest istotne: jedyną, niezamienną i niewymienną osobowością.

Oczywiście, człowiek powinien starać się o te egzystencjalne powiązania na każdym etapie życia. Ale starość stwarza chyba szczególnie stosowny czas do zrozumienia potrzeby takich pogłębionych stosunków oraz warunki do wprowadzania ich w życie i rozwijania. Stary człowiek jest wolny od nacisku nastawienia jedynie funkcjonalnego, może zatem na nowo odkryć i docenić w życiu to, co leży u samych podstaw ludzkiej natury.

Dla małżonków, którzy osiągnęli wiek

emerytalny, otwierają się tu wspaniałe możliwości. Jedną z większych tragedii życia małżeńskiego dzisiaj jest to, że zbyt wielu mężów i zbyt wiele żon, nawet po wielu latach życia małżeńskiego, pozostaje nadal na preegzystencjalnym poziomie powiązań. Cały ich wzajemny stosunek ogranicza się do dziedziny czysto funkcjonalnej. Toteż cały świat możliwości rozwoju człowieczeństwa i wzajemnego stwarzania się pozostaje nie wykorzystany. Przypomina się niepokojąca uwaga C. C. Junga, że człowiek pracuje i żyje tylko połową swych psychicznych możliwości, a druga połowa pozostaje nie wykorzystana i zapomniana.

Małżeństwo przynosiłoby ludziom więcej szczęścia i radości, gdyby świadomi byli różnorodnych poziomów międzyosobowych relacji i olbrzymich możliwości powiązań egzystencjalnych. Mąż i żona, którzy nigdy nie sięgają poza sposoby zwykłego funkcjonalnego współżycia, tracą najpiękniejszą szansę swego życia. Przeżywane frustracje, nuda, niezadowolenie, a nawet całkowita niemożliwość porozumienia — to wszystko nie może być dla nich niespodzianką.

Głębszy stosunek między małżonkami

może się rozwijać wówczas, gdy obie strony podejmą wyzwanie powiązań egzystencjalnych i zmagającej się miłości. W przeciętnym małżeństwie nie brak nigdy zmagania się i walki, ale często nie jest to zmaganie się miłości. Z drugiej strony wielu małżonków myśli, że wystarczy taka miłość, w której nie ma żadnej różnicy zdań. Zapominają oni, że dojrzałości nie można osiągnąć bez wyteżonych wzajemnych zmaganiań.

Wzajemne, płynące z miłości, krytyczne spojrzenie na siebie wcale nie dowodzi, że mąż i żona od samego początku byli idealni: on idealnym, dobrze ułożonym mężczyzną, ona idealną kobietą. W rzeczywistości są oni osobami, którym jeszcze daleko do doskonałości. Dopiero dzięki coraz głębszej egzystencjalnej więzi przekształcają się powoli, zbliżając się w jakimś stopniu do ideału. Nie można więc, jak to niektórzy czynią, przypisywać go im od samego początku. Nieprawdziwe założenia lub oczekiwania mogą łatwo zniweczyć małżeństwo. Zadaniem męża i żony jest wzajemne budowanie się, stwarzanie, w którym obie strony rozbudzają w sobie wszystkie potencjalne energie i w ten sposób pomagają sobie do wzrostu i dopełnie-

nia. Walka o ten ideał jest oczywiście zadaniem, które pogłębia i ubogaca wewnętrzne życie małżonków wkraczających w „złoty wiek”.

Tymczasem niektórzy małżonkowie — przede wszystkim po odejściu dzieci — oddalają się od siebie duchowo i każdy z nich żyje swoim życiem, chociaż mieszkają razem pod tym samym dachem. A przecież św. Paweł nakazując mężom, żeby miłowali żony dlatego, że Chrystus umiłował Kościół i wydał samego siebie za niego (Ef 5, 25), nie ograniczył tego nakazu do jakiegoś tylko czasu. Dobrze by było, gdyby małżonkowie, zwłaszcza starsi, przynajmniej raz w miesiącu czytali 5 rozdział Listu do Efezjan.

### *Życie religijne*

Wiara chrześcijańska jest tak nieskończenie bogata, że głębia jej prawdy nie może być nigdy wyczerpana, dobrodziejstwo jej religijnych i moralnych wartości nie może być zrealizowane w jakimś konkretnym okresie życia. Ewangelia jest niewyczerpalną kopalnią prawdy i ideałów. Chryścijanin może w niej kopać całe lata i nigdy

nie wyczerpie jej zasobów. Ta pełnia religijnej prawdy objawia się tylko stopniowo, etapami, zgodnie z rozwojem osobowego życia i na tej tylko drodze może człowiek realnie wejść w przebogatą sferę wartości religijnych.

W każdym okresie życia dane są człowiekowi pewne możliwości, możliwości zrozumienia i działania, niedostępne w takim samym stopniu w innym okresie. Pismo św. mówi często o *kairos*, czyli o jakimś wyjątkowo korzystnym czasie, który zdarza się raz tylko i nigdy więcej nie wraca. Eklezjastes mówi, że wszystko ma swój czas, czas jedyny, *kairos*: „Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wyrywania tego, co zasadzono..., czas płaczu i czas śmiechu... czas pieszczoł cielesnych i czas wstrzymywania się od nich..., czas milczenia i czas mówienia” (Koh 3, 1—8).

Współczesna filozofia bardzo silnie podkreśla historyczność człowieka, fakt, że człowiek musi istnieć i działać w warunkach historycznych. Zapewne, nie wszyscy filozofowie zdają sobie sprawę z tego, jak głębokie znaczenie przywiązuje Pismo św.

do z istoty swej historycznego charakteru człowieka. Św. Paweł pisze w liście do Rzymian: „A zwłaszcza rozumieście chwilę obecną: teraz nadeszła dla was godzina powstania ze snu. Teraz bowiem zbawienie jest bliżej nas” (Rz 13, 11). Nawet czas pokusy jest dla wierzącego *kairos*: „Ja cię zachowam od godziny próby, która ma przyjść na cały obszar zamieszkały, by wypróbować tych, co mieszkają na ziemi” (Ap 3, 10). Pismo św. nieustannie przypomina, że człowiek, który nie wykorzysta danego mu *kairos*, traci na zawsze jego możliwości, bo ta cenna godzina już nigdy nie wróci.

Bóg jest ponad czasem i ponad historią, kiedy jednak zajmuje się ludźmi, działa zawsze w czasie i historii. „A we właściwym czasie objawił swe słowo” (Tt 1, 3). W Kanie Galilejskiej Chrystus odpowiada swej Matce: „Jeszcze nie nadeszła godzina moja” (J 2, 4). Jezus nigdy nie działa w jakiś sposób ahistoryczny, lecz raczej w zgodności z *kairos*, jedynym czasem określonym i wyznaczonym przez Ojca. „Dla mnie stosowny czas jeszcze nie nadszedł, ale dla was — zawsze jest do rozporządzenia” (J 7, 6). „Chrystus bowiem umarł za nas jako za grzeszników



i w oznaczonym czasie, gdyśmy jeszcze byli bezsilni” (Rz 5, 6). Św. Jan opis ostatniej wieczerzy zaczyna od dokładnego podania czasu: „Było to przed świętem Paschy. Jezus widząc, że nadeszła Jego godzina (*kairos*) przejścia z tego świata do Ojca...” (J 13, 1).

Wszyscy przyjmujemy to za rzecz naturalną, że np. młodość stwarza jedyne w swoim rodzaju możliwości życia religijnego: ducha entuzjazmu, wielkoduszności, usposobienie zdolne do wielkich decyzji i wielkich wyborów.

Rzadziej jednak ludzie są świadomi tego, że starość również stwarza dla człowieka jedyne w swoim rodzaju możliwości w dziedzinie życia religijnego. Takich możliwości nie dawały poprzednie etapy życia, a przynajmniej nie dawały ich w takim stopniu. Człowiek nie może żyć religijnie i moralnie, jeżeli nie będzie uwzględniał warunków historycznych, czyli jeżeli będzie próbował osiągnąć wartości religijne i moralne, nie uwzględniając konkretnego okresu swego własnego życia i konkretnej życiowej sytuacji. Człowiek musi się pokornie zgodzić na to, że jego możliwości w każdym danym mu przez Boga czasie są ograniczone i w każdym

etapie życia otrzymuje on inny i jedyny dla tego etapu czas-*kairos*, który często różni się od wszystkich poprzednich.

Niestety wielu starszych ludzi ulega depresji i zniechęceniu wskutek ograniczeń, jakie niesie ze sobą starość. O ileż radośniejszy okazałby się wieczór ich życia, gdyby zamiast tego podnieśli oczy i dojrzeliby te rozległe horyzonty otwierające się przed starością. Odkrywając i dostrzegając te różnorodne perspektywy i nowe możliwości dla bardziej dojrzałego życia wiary, ludzie starzy mogliby odnaleźć źródło pocieszających i odmładzających przeżyć. Zobaczymy później, że człowiek stary wydaje się łatwiej i głębiej rozumieć tajemnicę Trójcy Przenajświętszej i szczególnie jest usposobiony dla uprawiania duchowości trynitarnej. Damy teraz tylko dwa przykłady, jak ludzie starzy mogą odkrywać nowe wartości w życiu religijnym.

Najpierw przykład ze średniowiecznego buddyzmu. Hoonen, założyciel czystego buddyzmu w Japonii, nauczał swoich zwolenników, by do Amidy-Buddy odnosili się z jak najwyższą wiarą i by wzywali jego świętego imienia. Mówił, że wiara jest podstawowym warunkiem zbawienia. Dzie-

ki potędze wiary „nawet człowiek zły będzie zbawiony, a tym bardziej dobry”. Jeden z uczniów Hoonena, Shinran, głęboko przejęty przeżyciem ludzkiej słabości i zepsucia, odwrócił zdanie Hoonena i twierdził, że „nawet dobry człowiek będzie zbawiony, a tym bardziej zły”. Istota tego, co chciał powiedzieć Shinran wygłaszając takie skrajne i paradoksalne zdanie, leży w tym, że działanie człowieka się nie liczy. Nie jest ważne, czy człowiek jest dobry, czy zły, ważny jest tylko i wyłącznie zbawczy akt Amidy-Buddy.

Nie zamierzam, oczywiście, podpisywać się pod tą skrajną postawą buddyzmu szkoły Shinrana, jestem jednak skłonny widzieć w tym paradoksalnym sformułowaniu mocną zachętą do poszukiwania bardziej autentycznego rozumienia naszej, często niewłaściwie pojmowanej wiary i łaski. Żeby dokładniej poznać, czym naprawdę jest nasza wiara, możemy skorzystać z pomocy, jaką daje nam właśnie starość. Przeciętny chrześcijanin w latach wzmożonej aktywności jest skłonny polegać przede wszystkim na własnych siłach i podstawy do swoich osiągnięć szuka w swoich własnych zdolnościach i pracy.

Gdybyśmy się posłużyli językiem teologicznym, to powiedzielibyśmy, że w latach wzmożonej aktywności człowiek rozumie łaskę mniej więcej tak, jak ją pojmowali pelagianie. Często nie docenia on wtedy głębokiej prawdy teologicznej, że byłby niczym i niczego by nie dokonał, gdyby nie zawsze obecna podtrzymująca moc Boża. Kiedy jednak człowiek zacznie się starzeć i poczuje, że jego siły się umniejszają, może zdać sobie sprawę, że nadarza się okazja, żeby zrozumieć, jak bardzo jego działanie i istnienie podtrzymywane jest przez stwórczą i zachowującą moc Bożą. I tak starzejący się człowiek otrzymuje nową sposobność do doświadczalnego stwierdzenia prawdy paradoksalnej w chrześcijaństwie, że im bardziej jego własne siły maleją, tym wspanialej jaśnieje w nim chwała i moc Boga Stworzyciela i Odkupiciela. Pięknie wyraził to św. Paweł: „Lecz Pan mi powiedział: wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali. Najchętniej więc będę się chlubił z moich słabości, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa. Dlatego mam upodobanie w moich słabościach, w obelgach, w niedostatkach, w prześladowaniach, w uciskach z powodu Chrystusa. Albowiem ile-

kroć niedomagam, tylekroć jestem mocny” (2 Kor 12, 9—10).

Drugi przykład uczy, jak starość może nabrać nowego zabarwienia religijnego w oparciu o głębsze zrozumienie doniosłych wartości życiowych i wielkiego daru wiary. Odsunięcie się od życia czynnego może być dla starszego człowieka znaczną pomocą w zdobywaniu właściwej postawy wobec świata. Może to komuś otworzyć oczy na wielkie wartości życia i może go doprowadzić do radosnego odkrycia, jak wspaniałym darem jest wiara. Z natury jesteśmy skłonni uważać to wszystko, co jest darem życia, za coś, co się nam należy. Często nie myślimy nawet o tym, że są to dary dane nam przez Boga i że winniśmy Mu być za nie wdzięczni. W wieku dojrzałym, kiedy to podaje się w wątpliwość wiele rzeczy cenionych w latach uprzednich, zaczyna się inaczej cenić to, co jest rzeczywiście wartościowe i trwałe. Starość zaostrza nasze wyczucie na to, co jest autentyczne i co nie przemija. Cierpienia i słabnące z dnia na dzień siły organizmu mogą otworzyć człowiekowi oczy na wartości trwałe i uzdolnić jego ducha do szukania pewniejszego szczęścia.

W związku z tym przypominam sobie

pewnego trędowatego, którego spotkałem w leprozorium koło Tokio. Co niedziela chodziłem jako kapelan do tego leprozorium i odprawiałem tam mszę św. dla chorych. Spotkałem tam pewnego pana, już starszego, który wskutek tej okropnej choroby stracił jedną rękę. Ku memu zdziwieniu człowiek ten zawsze był radosny i wesoły. Dowiedziałem się, że jest konwertytą i bardzo dobrym katolikiem. Sprowadza swoich chorych współtowarzyszy na mszę św. i jak może stara się głosić wszystkim, zwłaszcza niechrześcijanom, radosne prawdy ewangeliczne. Po jakimś czasie zorientowałem się, że chociaż większość chorych dzięki postępowi medycyny wracała powoli do zdrowia i miała nadzieję, że po kilku latach opuści szpital, to ów człowiek nie miał najmniejszej nadziei na odzyskanie zdrowia. Jego choroba została rozpoznana zbyt późno i teraz skazany jest na pozostawanie w leprozorium do końca życia.

Kiedy jednak z nim rozmawiałem, zauważyłem, że nie tylko nie był załamany ani rozżalony, lecz biła od niego jakaś radość. A w czasie rozmowy najczęściej powtarzał zdanie: „Jestem tak bardzo wdzięczny Bogu, że właśnie tutaj znalazłem wiarę chrześcijańską i sens mojego życia”.

Powtarzał to stale używając japońskiego wyrażenia: „Moje serce pełne jest wdzięczności”. Nie mogłem nie zauważyć rzucającego się w oczy kontrastu z opowiadaniem ewangelicznym o uzdrowieniu dieśięciu trędowatych: dieźwieńciu z nich nie znalazło już nigdy czasu na to, by wrócić i podziękować Chrystusowi za cud. A ten japoński trędowaty cierpiał nadal na tę straszną chorobę, a przecież mimo że nie doznał uzdrowienia, jego serce pełne było wdzięczności za dar, który uważał za większy niż zdrowie cielesne, za wiarę w Chrystusa.

Tym problemem, choć w nieco innym świetle, zajmuje się Franciszek Mauriac w kilku swoich powieściach. Mauriac z wielką wnikliwością przedstawia chciwość, nienawiść, nieludzkość, zepsucie oraz inne destruktywne siły ludzkich namiętności. Z powieści jego narzuca się niemal przekonanie, że życie to tyle co grzech i że zło wżera się w same korzenie ludzkiego istnienia. A jednak mimo tej wszechwładnej ludzkiej słabości i przewrotności wielcy grzesznicy Mauriaca pod koniec swego życia otrzymują i przyjmują wielki dar łaski. W tych upiornych postaciach Mauriaca łaska Boża największą swoją siłę

okazuje pod koniec ich życia. Wtenczas dopiero zostaje ostatecznie opanowana ich chciwość, zmysłowość i samolubstwo; dopiero wtedy uzyskują oni uwolnienie od osamotnienia i jedność z Bogiem i ludźmi.

W duszy bohaterki powieści Mauriaca *Teresa Desqueyroux* łaska odnosi zwycięstwo dopiero na łożu śmierci. Mauriac mówi o Teresie, że „należy ona do tej klasy istot ludzkich (a jest ich mnóstwo), dla których noc kończy się dopiero wtedy, kiedy kończy się samo życie”, *Pocałunek trędowatemu* jest tragiczną historią nieszczęśliwego małżeństwa między brzydkim, bogatym mężczyzną a piękną, ale ubogą dziewczyną. Noemi, już jako żona, czuje niepokonalną odrazę do swego męża. Życie z nim staje się dla niej po prostu nieznośne. Dopiero przy końcu jego życia, niedługo przed śmiercią, Noemi odkrywa w nim wewnętrzne piękno i zaczyna go naprawdę kochać.

Stary właściciel ziemski w *Kłębowskiu zmił* Mauriaca złości się i denerwuje, bo czuje, że nikt z otoczenia go nie kocha. Gorzknieje, serce zżera mu zarówno nienawiść, pragnienie zemsty, jak i chciwość. Odpowiadając na ten brak uczucia ze strony swojej rodziny postanawia zemścić się



na niej w ten sposób, że wszystkich wydziedzicza. Nawet w starości jego myśli i czyny opanowane są przez chciwość, nienawiść i zemstę. Dopiero w ostatnich dniach życia przebłyski miłości, jakie zauważa u niektórych osób ze swego otoczenia, otwierają serce tego „osamotnionego i zobojętniałego na wszystko potwora”. Ostatnie notatki w dzienniku starca świadczą, że nastąpił jakiś radosny przełom, że skuwające go lody chciwości i zgorzkniałości zaczęły topnieć w jego sercu. „Coś się stało, czuję, jak pękło mi serce — to jest Miłość, której imię wreszcie poznałem”. Jeden z jego krewnych pisząc o starym człowieku już po jego śmierci przyznaje, że był to człowiek okropny, a czasem aż straszny. Ale mimo to w ostatnich dniach życia zabłysło nad nim jakieś olbrzymie światło i jego ostateczne nawrócenie robi tak wielkie wrażenie, że ów krewny zmienia całkowicie swoje poglądy na życie.

Dla Mauriaca życie ludzkie podobne jest do długiej i niebezpiecznej ścieżki, pnącej się zygzakami po stromym zboczu górskim. Cała prawie niebezpieczna wspinaczka odbywa się w ciemnościach, światło zaczyna świecić dopiero przy końcu

tej drogi, gdy słońcem zalany szczyt wy-  
łania się w jakiś transcendentny sposób  
z morza mgieł i niepewności ludzkiego  
istnienia. Tęsknota ludzkości (nie zawsze  
uznawana) za transcendentną istotą Bożą  
rzadko kiedy jest przedstawiona tak traf-  
nie, jak w opisach postaci powieści Ma-  
uriaca.

*Udział w życiu i miłości Trójcy  
Przenajświętszej*

Wielu starszych chrześcijan właśnie w  
starości potrafi na nowo zrozumieć główną  
tajemnicę wiary chrześcijańskiej, tajemnicę  
Trójcy Przenajświętszej, i bardziej się  
do niej zbliżyć. Udział w wymianie życia  
i miłości między trzema Osobami Trójcy  
Przenajświętszej staje się dla wielu naj-  
bardziej twórczym sposobem spotkania się  
z osamotnieniem w starości.

Nie możemy powiedzieć, że nauka  
o Trójcy Przenajświętszej jest przeznaczo-  
na tylko dla ludzi starszych, bo przecież  
jest ona naprawdę sercem naszej wiary.  
Ale chyba słusznie się wydaje, że ta naj-  
głębsza z objawionych nam przez Chry-  
stusa prawd ma szczególniejsze powiąza-

nie z wiekiem dojrzałym i starością. Wydaje się, że człowiek starszy, który doświadczalnie poznał zarówno piękno, jak i ograniczenia różnorodnych stosunków ludzkich, dorósł do tego, by głębiej włączyć swoje życie w ową najdoskonalszą wymianę życia i miłości, jaka zachodzi między Osobami Trójcy Przenajświętszej.

Kiedy po raz pierwszy wykładałem katechizm japońskim niechrześcijanom, najbardziej się bałem lekcji o Trójcy Przenajświętszej. Jak miałem zrozumiale przedstawić swoim katechumenom ten najtrudniejszy i najważniejszy dogmat wiary chrześcijańskiej i jak oni go przyjmą? Byłem mile zaskoczony. Dogmat o Trójcy Przenajświętszej okazał się dla wielu katechumenów — zwłaszcza dla starszych — najbardziej pociągający i pomocny w ich życiu.

Frank Sheed, który często mówił o Trójcy Przenajświętszej w londyńskim Hyde Parku, zauważył — podobnie jak ja u moich katechumenów — że nauka o tej tajemnicy z niezwykłą siłą pociąga człowieka prostego. Daje on ponadto ciekawe wyjaśnienie tego niecodziennego zjawiska. Zafascynowanie, jakiego doznaje człowiek olśniony tajemnicą Trójcy Przenaj-

świętszej, porównuje z przeżyciem, jakiego doznaje człowiek, kiedy samego siebie rozpozna na fotografii, której nigdy przedtem nie widział. Jest zachwycony tym, że samego siebie (a więc oryginał) widzi na jakiejś kopii czy reprodukcji. Kiedy człowiek po raz pierwszy słyszy o Trójcy Przenajświętszej, ulega temu samemu wrażeniu, ale w porządku odwrotnym: nie swój obraz rozpoznaje, ale stwierdza, że wobec tego, co widzi, sam jest obrazem. Jest olśniony rzeczywistością, której sam jest tylko odbiciem.

Kiedy potem wróciłem na jakiś czas na chrześcijański Zachód, zastanawiałem się często, dlaczego nauka o Trójcy Przenajświętszej, sama w sobie tak pociągająca, nie odgrywa głównej roli w świadomości religijnej, w duchowości i w życiu religijnym i moralnym każdego przeciętnego chrześcijanina. Wykładowcy i kaznodzieje zazwyczaj odpowiedzą: „To jest zbyt trudne do wyjaśnienia, a poza tym nie widzę żadnego praktycznego zastosowania tego dogmatu”.

A przecież spośród wszystkich prawd objawionych nam przez Chrystusa, żadna nie jest tak głęboka ani tak pociągająca, ani też tak daleko sięgająca jak ta właś-

nie prawda o Bogu samym i o człowieku, który jest stworzony na obraz Trójjedyne-  
go Boga. Dlaczegoż to Chrystus musiał  
ponieść tyle trudów, by nam powiedzieć,  
że w Bogu istnieją Trzy Osoby, gdyby ta  
prawda nie miała rzeczywistego znaczenia  
dla życia chrześcijańskiego? Bóg na pewno  
nie objawił tej prawdy po to, by nam dać  
do rozwiązania coś w rodzaju boskiej ła-  
migłówki, ani też po to, by sprawić więcej  
kłopotu katechetom, którzy trudzą się, że-  
by jakoś wyjaśnić ludziom tę głęboką ta-  
jemnicę. Bóg po to raczej objawił nam ta-  
jemnicę Trójcy Przenajświętszej, by rzucić  
światło na naszą własną istotę i drogę ży-  
cia, jeśli ono ma być wartościowe i pełne.

Bóg nie istnieje jako samotnik lub ja-  
kaś odizolowana jednostka. Do istoty Bó-  
stwa należy wspólnota. Jezus Chrystus da-  
jąc nam objawienie, pozwala nam na pe-  
wien wgląd w tę pełną miłości wspólnotę  
między Trzema Osobami Boskimi: „Oj-  
ciec miłuje Syna” (J 3, 35), „Ja i Ojciec  
jedno jesteśmy” (J 10, 30), „Ojciec jest we  
mnie, a Ja w Ojcu” (J 10, 38), „Duch  
prawdy, który od Ojca pochodzi, On bę-  
dzie świadczył o mnie” (J 15, 26).

Życie Boże jest w swej najgłębszej  
istocie społeczne. Bóg istnieje jak przyjaźń

i społeczność Trzech Osób Boskich. W Trójcy Przenajświętszej każda Osoba posiada egzystencję tylko w relacji do innych i istnieje tylko dla innych, daje i otrzymuje miłość od innych i w ten sposób każda staje się w pełni sobą. Trójca Przenajświętsza stanowi najwyższą zgodność przeciwieństw: najwyższa forma jedności jest w najwyższej zgodności z oddzielną osobowością Trzech różnych Osób. Być sobą nie umniejsza się wraz z dawaniem siebie, raczej w miarę tego dawania wzrasta. Tak więc Trójca Przenajświętsza jako źródło i wzór każdej osobowości i wspólnoty przekonywa nas, że najwyższą doskonałością osoby nie jest zamknięta autonomia, izolacja i niezależność, ale raczej otwarcie i oddanie się w miłości innym: być dla innych.

Człowiek od samego początku pytał o to, kim jest, i stopniowo budował wiedzę o swej naturze i istnieniu. Z wszystkich jednak odpowiedzi na pytanie, kim jest człowiek, najdonioślejszą i najbardziej rewolucyjną jest odpowiedź Chrystusa, że człowiek jest stworzony na obraz Boga w Trójcy Świętej Jedyne go i że jest powołany do „uczestnictwa w boskiej naturze” (2 P 1, 4). Nigdy w ciągu całej historii ra-

sy ludzkiej człowiek nie dokonał tak doniosłego odkrycia. Nie było to jednak objawienie nagłe, nie dokonało się za jednym razem: ta budząca przerażenie prawda odsłania się powoli i stopniowo. W Księdze Rodzaju Bóg mówi: „Uczyńmy człowieka na nasz obraz, podobnego nam” (Rdz 1, 26). Tylko dzięki Chrystusowemu objawieniu poznaliśmy, że Bóg nie jest sam, że jest Bogiem w Trzech Osobach i że istnieje właśnie jako żywa społeczność Trzech Osób, a człowiek, stworzony na obraz Trójcy Przenajświętszej, ma w sobie strukturę trynitarną.

Z tego, że chrześcijanin rozpoznaje w sobie na nowo obraz Trójcy Przenajświętszej, płyną nadzwyczajne konsekwencje. Ponieważ Bóg nie istnieje jako samotna i odosobniona Osoba, lecz żyje w wymianie miłości Trzech Osób, człowiek także jest z istoty swej bytem społecznym, ponieważ jest stworzony na obraz Boga w Trójcy Świętej Jedyne. Swoją prawdziwą osobowość i pełnię człowieczeństwa znajduje on w dwustronnym stosunku miłości i wymiany z innymi.

Jedną z najbardziej bezpośrednich konsekwencji etyki opartej na społecznej naturze człowieka jest odrzucenie współczes-

nego indywidualizmu zachodniego. Nie ma rzeczy tak głęboko sprzeciwiającej się indywidualizmowi jak fakt, że człowiek w samej głębi swej istoty jest obrazem Boga, który w swym życiu wewnętrznym jest wspólnotą. Fakt, że Bóg jest trzyosobową wspólnotą, jest ostatecznym założeniem i źródłem wszystkich wspólnot ludzkich. Bóg chce, by człowiek żył we wspólnocie, ponieważ sam istnieje jako wspólnota i stworzył człowieka na swoje podobieństwo. W tej zasadzie znajdujemy wyjaśnienie, dlaczego to Chrystus tak radykalnie domagał się miłości bliźniego. Jeżeli cała struktura człowieka nosi podobieństwo Trójcy Przenajświętszej i Jej międzyosobowej pełni życia, to jego przeznaczeniem jest także życie we wspólnocie z innymi ludźmi, i to życie całą głębią swej istoty.

W pierwszym rozdziale tej książki widzieliśmy, że nasza cywilizacja zachodnia przecenia niezależność i autonomię jednostki, a przeocza i nie docenia wartości życia solidarnego i wspólnotowego. Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę, jak szybko rozpada się nasze społeczeństwo wskutek nieskrępowanego indywidualizmu. Ludzie starsi, którzy noszą największy ciężar izo-



lacji i osamotnienia, pragną też najgoręcej, by jakoś opanować ten proces atomizacji społeczeństwa i odnaleźć nowe wartości w życiu wspólnym.

Wagę tego problemu ostatnio często podkreślają socjologowie i teologowie. Np. socjolog, Filip Slater, w swej książce *Śladami samotności* przeprowadza analizę napięć społecznych i psychicznych, które rozdzierają społeczeństwo amerykańskie. Według niego trzy ludzkie dążenia: do życia wspólnego, angażowania się i zależności — zostały w Ameryce zniszczone w stopniu wyjątkowym. Źródłem trudności przeżywanych przez Amerykanów jest skrajny indywidualizm. A jeżeli „wszechwładny indywidualizm jest zasadą, na której nie może się rozwijać życie w żadnym społeczeństwie wieku atomowego”, musimy go przewyciężyć i rozwinąć nowe wartości w życiu społecznym. Jeżeli nie przeprowadzimy radykalnej przebudowy naszego społeczeństwa, Ameryka jest skazana na zagładę.

Wydaje się, że praca nad ponownym włączeniem w społeczeństwo osamotnionych i odosobnionych ludzi starszych jest moralnym nakazem naszych czasów. Musimy znaleźć skuteczne sposoby na usu-

nięcie obecnego indywidualizmu i zorganizowanie nowych wspólnot, jeżeli istotnie chcemy zapewnić ludziom starszym ludzki i chrześcijański sposób życia.

Rozumienie człowieka w świetle trynitarnym daje doniosłą odpowiedź na współczesne poszukiwania społeczne. Antropologia trynitarna podkreśla, że człowiek u samych podstaw jest istotą społeczną. A Trójca Przenajświętsza objawia nam, że wspólnota jest prawdziwą istotą Boga. Bóg nie jest Osobą samotną, owszem, w istnieniu Bożym mieści się wspólnota. Ta najwyższa wspólnota Boska jest ostatecznym wzorem wszystkich form wspólnotowych. W Trójcy Przenajświętszej każda Osoba istnieje tylko w swej relacji do innych i tylko w istnieniu dla innych, w procesie nieskończonego dawania i przyjmowania miłości leży pełnia osobowości każdej z nich.

Człowiek, stworzony na obraz Boga w Trójcy Świętej Jedyne go, jest również bytem istotowo wspólnotowym. Nie jest przede wszystkim bytem indywidualnym, a potem dopiero społecznym. W swojej najgłębszej istocie jest zwrócony do drugiego człowieka i pełnię człowieczeństwa osiągnąć może tylko przez dynamiczny

proces naśladowania w ludzkiej wspólnocie wzajemnego dawania i przyjmowania miłości, jakie zachodzi między Trzema Osobami Trójcy Przenajświętszej. Wszystko to, co ogranicza go i przeszkadza mu być całkowicie dostępnym dla innych ludzi, ogranicza jego samego i przeszkadza mu być w pełni sobą.

Starsi ludzie mają więcej wolnego czasu na rozmyślanie i modlitwę. Zbliżenie się do Boga w Trójcy Świętej Jedyne go przez rozmyślanie i kontemplację jest chyba najbardziej ubogającym przeżyciem. Kiedy człowiek przez kontemplację włącza się w życie i miłość Trójcy Przenajświętszej, Bóg Jedyne go objawia się mu jako Ojciec, Syn i Duch Święty i pozwala mu wejrzeć okiem ducha w to nieskończone bogactwo i piękno wspólnoty miłości Trzech Osób Boskich. Kiedy człowiek pozwoli się porwać i zanurzyć w odpływy i przyływy wszechpotężnego życia Trzech Osób Boskich, jego życie dzięki zetknięciu się z życiem nieskończonym radykalnie się odnawia.

Uczestniczenie w życiu Trójcy Przenajświętszej przez kontemplację tu na ziemi będzie nas umacniało coraz bardziej w świadomości, że jest w nas obecny zmartwychwstały Chrystus, który rozbudza już

teraz w naszym starzejącym się ciele nowe, Boże życie i miłość; to życie już ani starzeć się nie będzie, ani umniejszać. Takie kontemplatywne uczestniczenie w życiu Trójcy Przenajświętszej będzie rozbudzać wzrastającą stale tęsknotę i pragnienie za pełniejszą wymianą tej miłości. Stworzy to nową, eschatologiczną tęsknotę wśród chrześcijan, tak bardzo żywą w pierwotnym Kościele. „Tak przeto teraz wzdychamy, pragnąc przyodziać się w nasz niebieski przybytek” (2 Kor 5, 2).

Im bardziej włączymy się w to wewnętrzne życie i miłość Boga w Trójcy Świętej Jedyne, tym bardziej wzrastać będzie nasze pragnienie zjednoczenia się z Nim. To jest tak, jak z miłością dwojga młodych ludzi, którzy zakosztowali już słodczy wzajemnych czułości i odczuwają nieprzepartą siłę pociągającą ich do pełnego oddania się sobie w miłości małżeńskiej. Jeżeli ta olbrzymia fala wiecznego życia Trójcy Przenajświętszej ogarnie człowieka, rodzi się w nim ogromna tęsknota za całkowitym zanurzeniem się w niej i coraz głębszym uczestniczeniem w tej największej wspólnocie miłości, istniejącej tylko w Trójcy Przenajświętszej.

Starość może się stać wspaniałą okazją

do wzbogacenia życia, jeśli doprowadzi człowieka do pełniejszego uczestnictwa w nieskończonym międzyosobowym dawaniu i przyjmowaniu miłości, czego jesteśmy świadkami w Trójcy Przenajświętszej. W niej właśnie znajdujemy doskonały prototyp tego, co każda prawdziwa miłość między ludźmi niestrudzenie usiłuje osiągnąć: być jedno z drugim, a mimo tej łączności nie stracić własnej tożsamości, owszem: odnaleźć ją! W Trójcy Przenajświętszej widzimy, że możliwy jest ten piękny paradoks: im więcej ktoś daje temu, kogo kocha, tym bardziej staje się tym, kim jest. Człowiek starszy może osiągnąć taką głębię zbliżenia siebie samego do drugiego człowieka, o jakiej nawet nie śnił. Musi jednak dać się porwać w ten dynamiczny strumień życia i miłości, który płynie między Trzema Osobami Trójcy Przenajświętszej. Ten udział w miłości Trójcy Przenajświętszej potrafi wyzwolić z człowieka nową, nieskończoną wprost energię miłości, która dotychczas leżała usypiona, czekając na chwilę rozbudzenia i rozpalenia.

Głębsze uczestnictwo w miłości Trójcy Przenajświętszej jest nie tylko wspaniałą odpowiedzią na samotność w starości, lecz

wprowadza także człowieka w dialektyczny proces zbliżania się jednocześnie do Boga i do innych ludzi. Oznacza to, że im głębiej człowiek wchodzi w duchowy dialog miłości z Bogiem i uczestnictwa w wymianie miłości między Trzema Osobami Boskimi, tym łatwiej będzie mógł dawać samego siebie innym w służbie i miłości.

Nasze zajęcie w niebie przez całą wieczność będzie polegało na głębokim uczestnictwie w międzyosobowej miłości Ojca, Syna i Ducha Świętego. To znów z kolei umożliwia nam głębsze spotkanie z innymi ludźmi w niebie. Usiłowanie, by wejść jakoś głębiej w ten doskonały dialog miłości między Osobami Trójcy Przenajświętszej, będzie dla ludzi starszych wspianym wprowadzeniem w ich wieczną przyszłość a nawet jej antycypacją.

### *„Idę do Ojca”*

Każdy starzejący się człowiek musi się pogodzić z nieuniknionym faktem zbliżającej się śmierci. Jest czasami rzeczą śmieszną, jak bardzo niepoważnie zachowują się ludzie starsi, gdy zacznie się mówić o tak oczywistym fakcie jak śmierć. Pamiętam siedemdziesięcioletniego męż-

czynną, który był tak przerażony, że ile razy padło słowo *śmierć*, uciekał po prostu z pokoju. Pewnego dnia dałem mu przepiękny list, jaki Mozart napisał o swojej własnej śmierci, kiedy miał zaledwie 31 lat. Ów starszy człowiek powiedział mi później, że bardzo się wstydził, kiedy spostrzegł, jak wielka zachodzi różnica między nim a Mozartem, który tak bardzo dojrzałe przyjmował nadchodzącą śmierć. Na cztery lata przed śmiercią pisał Mozart do swego ojca tak:

„Ponieważ śmierć jest ostatnim zadaniem naszego życia, zainteresowałem się nią w ostatnich latach, by poznać tego wiernego, najlepszego przyjaciela ludzi tak doskonale, by myśl o niej nie tylko nie miała nic przerażającego dla mnie, ale by była dla mnie wielką pociechą i ukojeniem serca. Dziękuję Bogu, że mi udzielił tego szczęścia, że umożliwił mi uznać śmierć za klucz do naszej szczęśliwości. Nigdy nie kładę się spać bez pomyślenia, że chociaż jestem jeszcze młody, jutro mogę już nie żyć. I nikt, kto mnie zna, nie powie, że w obcowaniu z ludźmi jestem ponury lub smutny. Za to szczęście dziękuję memu Stwórcy codziennie i tego szczęścia życzę

wszystkim moim przyjaciółom z całego serca”.

List ten pisał Mozart 4 kwietnia 1787 roku. Czuł zbliżającą się śmierć i w 31 roku życia osiągnął już taką dojrzałość i tak radosną postawę wobec śmierci, której inni nawet w 70 roku życia osiągnąć nie potrafiały.

Wielu chrześcijan ma zawężony pogląd na życie po śmierci i myśli o niebie tylko jako o miejscu „wiecznego spoczynku” i „oglądania Boga”. Te dwa pojęcia, choć w jakimś sensie słuszne, zniekształcają jednak prawdziwe znaczenie życia wiecznego i wytwarzają raczej negatywny i bierny obraz życia w niebie. W świetle duchowości trynitarnej trzeba widzieć w niebie najwyższe twórcze możliwości człowieka: czynne uczestnictwo w najwyższym życiu i miłości, a konsekwentnie i w działalności Trójcy Przenajświętszej. Wyrażenia „wieczny odpoczynek” i „wizja uszczęśliwiająca” zachowują swoje podstawowe znaczenie: będziemy rzeczywiście odpoczywać w tym sensie, że nie będzie tam jakiegóż męczącej i żmudnej pracy ani nudnego i bezsensownego działania. Będzie też i uszczęśliwiający oglądanie Boga, ponieważ Trójca Przenajświętsza jest niewy-



czerpanym źródłem piękna. Ale nie powinniśmy kłaść nacisku na negatywną i bierną stronę nieba, lecz raczej radosną ucztę w osobistym zjednoczeniu z Ojcem, Synem i Duchem Świętym i z całą przemienioną w miłości społecznością ludzi zbawionych.

Obecne nasze bytowanie na ziemi i wieczne życie w niebie trzeba traktować jako ciągłość. Mistyczny udział w życiu Trójcy Przenajświętszej tu na ziemi i nasze oddanie się w miłości innym ludziom stanie się w ten sposób pewnym przygotowaniem i wprowadzeniem w tę działalność, która będzie wieczystym zajęciem ludzi w niebie: w twórcze uczestnictwo w trynitarnym dawaniu się i przyjmowaniu miłości między Ojcem, Synem i Duchem Świętym w jedności z całym zbawionym rodzajem ludzkim.

Niektórzy ludzie krzywo patrzą, kiedy się im zwraca uwagę na przyszłe życie w niebie. Twierdzą, że jest to tylko ucieczka od własnej odpowiedzialności tutaj na ziemi. Czasem rzeczywiście myśl o niebie może być jakąś formą ucieczki. Bywa tak zwłaszcza, gdy zamiast myśleć o niebie, trzeba by raczej zebrać wszystkie siły i popracować nad rozwiązaniem problemu tu

na ziemi. W starości może jednak człowiek znaleźć się w takiej sytuacji, że niczego wielkiego zrobić nie może i nie musi, ponieważ wykonał to, co na ziemi miał wykonać, i osiągnął szczyt osamotnienia i cierpień. Np. człowiek chory na raka nie ma już na co w życiu czekać.

Kiedy człowiek dożyje chwili, w której to życie doczesne nie daje mu już żadnych perspektyw ani nadziei na jaśniejsze dni, dobrze jest, jeżeli ma pod ręką jakieś teksty Pisma św. mówiące o weselu i radościach przyszłego życia w niebie.

Warto np. odczytać słowa Chrystusa wypowiedziane podczas Ostatniej Wieczerzy: „Niech się nie trwoży serce wasze. Wierzycie w Boga i we mnie wierzcie. W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce. A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie ja jestem” (J 14, 1—3). Inny piękny tekst o przyszłym życiu w niebie można znaleźć w Objawieniu św. Jana: „Nie będą już łaknąć ani nie będą już pragnąć i nie porazi ich słońce ani żaden upał, bo paść ich będzie Baranek, który jest pośrodku tro-

nu, i poprowadzi ich do źródeł wód życia i każdą łzę otrze Bóg z ich oczu” (Ap 7, 16—17).

Św. Paweł pisze z uniesieniem, że piękno i wspaniałość nieba przewyższa wszystko, cokolwiek widzieliśmy lub słyszeliśmy: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy Bóg przygotował tym, którzy go miłują” (1 Kor 2, 9). Św. Jan w Objawieniu podkreśla znów radość i szczęście życia przyszłego: „Napisz: Błogosławieni, którzy w Panu umierają — już teraz. Zaiste, mówi Duch, niech odpoczną od swoich mokołów, bo idą wraz z nimi ich czyny” (Ap 14, 13). Wreszcie proste, lecz wzruszające słowa św. Pawła: „I w ten sposób zawsze będziemy z Panem, przeto wzajemnie się pocieszajcie tymi słowy” (1 Tes 4, 17).

### *Przejdźcie przez pustynię do Ziemi Obiecanej*

Starość w sensie pozytywnym podobna jest do przejścia przez pustynię do Ziemi Obiecanej. Uczy nas bowiem, że w życiu jest bardzo wiele spraw niestałych i prze-

mijających. Bogactwo i zewnętrzne osiągnięcia, piękność i zdrowie — wszystko to przemija i ginie. Ale poznanie przemijającej natury rzeczy doczesnych jest dopiero jedną stroną medalu. W człowieku starzejącym się rozwija się przecież nowa świadomość tego, co jest trwałe i co jest wieczne. Z zanikiem sił i życia człowiek uzdalnia się do pogłębiania swej wiary w nie kończące się życie wieczne w zjednoczeniu z Bogiem w Trójcy Świętej Jedynym. Wieczna przyszłość jawi się jako darzące ciepłem i blaskiem światło oświecające teraźniejszość i dające jej nowe wartości i nowe nadzieje.

Człowiek wie, że musi przejść jeszcze przez bramę cierpienia i śmierci, ale wie również, że ten ostatni, najważniejszy etap jego życia będzie udziałem w cierpieniach i śmierci Chrystusa, przejściem do zmartwychwstania i życia z chwalebnym Chrystusem zmartwychwstałym na łonie Trójcy Przenajświętszej. Na swoją starość spoglądnie teraz jako na najważniejszy okres w wielkodusznym oddaniu się, wzroście i dopełnieniu, okres, którego szczytem będzie całkowite zjednoczenie z cierpiącym, umierającym i zmartwychwstałym Chrystusem.

Starość oznacza dla takiego człowieka uciążliwe, a jednak chwalebne kroczenie przez pustynię do Ziemi Obiecanej, do ziemi nie bezczynnego „wiecznego spoczynku”: jest to ziemia w najwyższym stopniu radosnej przyjaźni i miłości z Chrystusem w Trójcy Przenajświętszej.

## POSŁOWIE

NAPISAŁ KS. STANISŁAW NAWROCKI SJ

„Dodawajmy życia do lat, a nie lat do życia”. Takie hasło rzucił na łamach tygodnika *Kierunki* (nr 1 z 1970 r.) prof. dr Aleksander Kamiński, autor bardzo cennej publikacji pt. „Funkcje pedagogiki społecznej”, w której traktuje między innymi o „wychowaniu do starości”, czyli: jak się „uczyć być starym poprawnie, z pożytkiem i pogodnie”.

1. Od kilkunastu lat w całym świecie, także i w Polsce, różni specjaliści w zakresie tzw. geriatрії i gerontologii rozważają zagadnienie narastającego coraz bardziej procesu starzenia się ludzi. Geriatria jest działem medycyny, zajmującym się profilaktyką i leczeniem ludzi „starszych” lub „starych” i jest odpowiednikiem tzw. gerontologii społecznej, której przedmio-

tem — według prof. Kamińskiego — są „społeczne cechy, sytuacje i uwarunkowania osób starszego wieku”. Dyscyplina ta wiąże się ściśle z innymi naukami, jak socjologia, demografia, psychologia, psychiatria i pedagogika społeczna, i z jej usług korzystają coraz częściej tzw. organizatorzy życia społecznego.

Pismo *Życie i Myśl* (nr 11 z 1973 r.) zamieściło cenny artykuł doc. dr Kingi Wiśniewskiej-Roszkowskiej pt. *Zdrowa starość*. Jest to wypowiedź specjalisty-geriatry na temat wybranych zagadnień opieki lekarskiej nad ludźmi starymi, stanu aktualnego oraz kierunków rozwoju geriatry w Polsce. Autorka uzasadnia swe postulaty wskaźnikami demograficznymi i potrzebą aktywizacji oraz usprawnienia takiego leczenia. Z przytoczonych w tym artykule danych statystycznych wynika, że problem ludzi starych w najbliższej przyszłości stanie się w Polsce problemem najważniejszym. Od umiejętnego rozwiązania tego problemu, czyli od zastosowania wskazań geriatrycznych i gerontologicznych, będzie zależał w znacznym stopniu stan życia społeczeństwa polskiego przed 2000 rokiem. Albowiem skut-

ki starzenia się są już widoczne we wszystkich dziedzinach życia.

2. Aby postulowane słusznie przez prof. Kamińskiego i doc. Wiśniewską-Roszkowską „wychowanie do starości” mogło zrodzić spodziewane owoce, musi się rozpoczynać na długo przed tzw. biologicznym okresem starzenia się jednostki, owszem — trwać chyba całe życie. Od zdrowia ludzi dojrzałych, od ich stosunku do otoczenia i od swoistego pojmowania przez nich osobistych zadań i celów życiowych zawisło ich przygotowanie się do poprawnego i szczęśliwego przeżywania „złotego wieku” życia. Ale wychowanie do takiej starości domaga się także od społeczeństwa, zwłaszcza od najbliższego otoczenia, godnego poziomu etyczno-kulturalnego, pozwalającego wykształcić odpowiednią postawę wobec ludzi starych lub starzejących się, oraz opracować i realizować różnorakie formy opieki nad nimi. Te dwa zagadnienia wzajemnie się zazębiają i uzupełniają.

Słyszając lub mówiąc o „starości”, najczęściej myślimy o fizjologicznym stanie zdrowia człowieka: o ilości lat jego życia, które przecież nie muszą koniecznie powo-



dować jakiegoś nieuchronnego stanu społeczno-psychicznego, czyli tego, że człowiek stary „musi się” podporządkować biernie i bez oporu swojej starości, lub — w najlepszym razie — „honorowo” się z nią pogodzić, co z kolei oznacza, iż „musi rezygnować” z wielu funkcji i planów życiowych oraz zredukować swoją rolę społeczną do najbardziej elementarnych czynności. Z takim — błędnym acz częstym — pojmowaniem starości łączy się niechęć i zniecierpliwienie otoczenia, uważającego ludzi starych za przysłowiowy „balast społeczny”. W ten sposób tworzy się błędne koło, trudne niezmiernie tak dla ludzi starych, jak i dla ich środowiska i rodzin.

3. By z tej sytuacji wyjść obronną ręką, trzeba już za młodu dojść do przekonania, że 1° i w starości można i trzeba być użytecznym i aktywnym członkiem społeczeństwa i 2° że starość jest etapem życia ogromnie sprzyjającym rozwojowi różnorodnych zainteresowań: intelektualnych, artystycznych, społecznych, religijnych czy innych, nazywanych popularnie mianem „hobby”. Najdokuczliwszą bowiem dla ludzi starych, zwłaszcza dla mężczyzn,

rzeczą jest nadmierna ilość wolnego czasu i rozpaczliwe nieraz poszukiwanie sposobów jego spędzenia. By temu zapobiec, trzeba na długo przed właściwą starością nabyć i rozwinąć w sobie uzdolnienie do aktywnego i twórczego „przechodzenia przez życie”. Ludzie bowiem, którzy odznaczali się zawsze takimi właściwościami umysłu i charakteru, jak zainteresowanie literaturą, sztuką, zagadnieniami społecznymi, skłonnością do życia czynnego i owocnego, „majsterką” itp. — nie starzeją się tak szybko w tym negatywnym znaczeniu, za którym kryje się pustka, samotność i przymusowa bezczynność.

Ponadto ogromne znaczenie posiada troska o higieniczny tryb życia oraz dbałość rozumna i stała o zdrowie, czyli to, co można nazwać „wstrzemięźliwością”, umiarkowaniem, „złotym środkiem” w postępowaniu. Człowiek nieopanowany i nieumiarkowany w korzystaniu z dóbr tego życia dopiero w starości „pokaże co potrafi” — ku udręce i rozpaczy otoczenia... Oto kilka wypowiedzi dobrze przygotowanych do starości „emerytów”. Czytamy w nr 36 z 16—16 lutego 1976 r. *Słowa Powszechnego*, w rubryce „Nic co ludzkie”: „Z przejściem na emeryturę — pi-

sze p. T. z Tarnowa. — zaczyna się nowe życie, świat ciągle się zmienia i krąg dawnych przyjaciół i znajomych się rozpada. Wszystkie te zmiany trzeba przyjmować, godzić się z nimi, przystosowywać się tak, by w nowych latach życia odnajdywać nowe wartości i cele... Pierwsze i najważniejsze przykazanie — to nie zatracać swego świata, swych zainteresowań i swej pracy. Z przejściem na emeryturę odchodzimy ze stanowisk, przekazując je młodszym. Dochodzi się do momentu, gdy należy się nam zmiana pracy na łatwiejszą i lżejszą. Właśnie zmiana. Emeryturę należy traktować jako pewną zmianę w życiu i w pracy, a nie jako bezczynność. Należy kształtować swe zainteresowania i zdobywać możliwości, które rozwijać będziemy również po emeryturze. Nie muszą to być jednak zainteresowania związane z zawodem. Chodzi oto, by były wyrazem naszej osobowości, upodobań i dawały możliwości jakiejś twórczej i pozytywnej działalności. Może to być pisanie pamiętników, zbieranie osobliwości itp. Ważne, aby to zajęcie kochać, wtedy można naprawdę cieszyć się ze swego dzieła i umiejętności, taka zaś satysfakcja jest źródłem zdrowia i siły. Na emeryturze zasadą postępowania: jest na-

leży dawać a nie brać i wymagać. Dawać hojnie ze skarbca swego doświadczenia i swych umiejętności, ofiarowywać swój czas, udzielać porad. W ten sposób zdobywa się życzliwość, wdzięczność i miłość ludzką, to jest ważne... To najlepsze w życiu jest zawsze przed nami, ukryte gdzieś przed naszym wzrokiem czeka i przyciąga...”.

„Gdy zdecydowałem się przejść na emeryturę — pisze mgr inż. J. S. z S. agrotechnik — miałem początkowo obawę, że przejście na „bezrobocie” mnie psychicznie rozstroi. Przez całe życie byłem człowiekiem do przesady pracowitym... Po naradzie z żoną postanowiliśmy więc kupić sobie niewielką działkę, na której zasadziłem częściowo sad owocowy, a na reszcie uprawiamy ziemniaki i warzywa. Działka ta stała się dla mnie nowym warsztatem pracy... Doszedłem do wniosku, że prawdziwe szczęście i wolność zdobywa człowiek tylko po przejściu na emeryturę”.

Pan S. W. z Warszawy nie narzeka na los emeryta, gdy pisze: „Zbliżające się przejście na emeryturę wcale mnie nie przerażyło, a przeciwnie — podniosło mnie na duchu i lepiej się poczułem, że naresz-

cie będę miał prawdziwy spokój, którego tak pragnąłem. W dowód wdzięczności Bogu, że mi błogosławił, zamówiłem mszę św. dziękczynną w intencji całej rodziny. Życie moje na emeryturze nie jest ciężkie ani smutne, gdyż zawsze staram się unikać bezczynności”.

A ktoś inny stwierdza, że wyłącznie egoizm może nie pozwolić człowiekowi staremu zrozumieć konieczności „zluzowania” go przez młodszych: „Jeśli ktoś w swym życiu nie widział nic poza przysłowiowym „szpicem swego buta”, to ma potem trudności, co ze sobą zrobić. Nie przeżywają takich kłopotów ludzie, którzy włączali się w nurt życia społecznego, a teraz nadal będą mogli jeszcze intensywniej poświęcać się tym sprawom... W okresie emerytalnym można uzupełniać braki w zakresie życia oświatowo-kulturalnego i rozrywek, skorzystać z możliwości, jakie stwarza pewna swoboda. Życie jest zawsze ciekawe, bez względu na wiek człowieka... Oto i cała filozofia życia emeryta, który okaże się potrzebnym”.

4. Jak z badań i doświadczeń wielu specjalistów a także z powyższych wypowiedzi wynika, prócz procesu „samowy-

chowywania się” do pogodnej starości wielkie znaczenie posiada „przedłużony okres pracy” w czasie emerytury. Współczesne społeczeństwa mają znaczne odsetki emerytów jeszcze wciąż zdolnych do pracy i pragnących w dalszym ciągu pracować. Tymczasem istnieje zwyczaj automatycznego przenoszenia ludzi określonego wieku w „stan spoczynku”, nierzadko niestety — w stan frustracji, gdy braknie zajęcia.

„Również po przejściu na emeryturę — pisze dr Kinga Roszkowska — człowiek powinien być czynny, rozwijać taką czy inną działalność, oczywiście lżejszą, dostosowaną do zasobu sił i stanu zdrowia, no i naturalnie zgodną z zainteresowaniami. Wdzięcznym i bardzo pożytecznym polem działalności dla starszych emerytów będzie właśnie pomoc dla rodzin, pojęta jako szeroka akcja społeczna, pomoc zarówno na terenie domu, jak i pozadomowa (np. opieka nad dziećmi, korepetycje, różnorakie usługi, chwilowe zastępstwa w pracy zawodowej itp.). Taka akcja „pomocy dla rodzin” powinna zresztą objąć całe społeczeństwo, najpierw jednak trzeba docenić ważność tych spraw,

stworzyć odpowiednią atmosferę psychiczną”.

Kiedyś słyszałem o dobrej inicjatywie tzw. „przekwalifikowywania” pracowników na kilka lub kilkanaście lat przed emeryturą, dającego jednak możliwość uzyskania przez nich specjalizacji czy innego stanowiska, które można potem łatwiej przedłużyć, byleby to nie powodowało obniżenia prestiżu zawodowego i degradacji finansowej czy społecznej. Przy takim przekwalifikowaniu należy dobierać taką pracę, przy której wykonaniu liczyłyby się cechy owego pracownika, jak sumienność, staranność, obowiązkowość i systematyczność, które właśnie wypracowuje się na ogół dopiero w starszym wieku, a są one dziś ogromnie cenne...

5. Tak pojęte „wychowanie do starości” (czyli przez zainteresowania i przez pracę) dotyczyć może oczywiście ludzi-emerytów jeszcze „zdrowych” i rześkich, czyli mniej więcej do 80 roku życia. Potem zwykle przychodzi już „sędziwa starość” — z ograniczoną sprawnością fizyczną i umysłową, czasem także z zupełnym zniedołężnieniem i przykuciem do łóżka. Ta sędziwa starość charakteryzuje się za-

zwyczaj tzw. wielkim „rozangażowaniem się” (*disengagement*) społecznym i uczuciowym, zerwaniem zainteresowań, zrezygnowaniem z udziału w życiu społecznym i towarzyskim. W tej fazie starości muszą się takimi starcami zająć albo rodziny własne, albo (gdy te nie mogą) osoby specjalnie do tego przeznaczone oraz grupy czy instytucje opiekuńcze. Do takiej roli trzeba wychowywać społeczeństwo. Albowiem nie jest wszędzie zbyt dobrze w tym zakresie i wiele osób opanowała swoista pod tym względem „znieczulica”.

Znamienny przykład takiej karygodnej znieczulicy mogliśmy wyczytać w *Dzienniku Polskim* z 12 XII 1975 r., w odcinku „Piątek z paragrafem” pt. „Opowieść rodzinna”: „Nie wymienię — pisze Adam Teneta — w niniejszej opowieści nazwisk jej negatywnych bohaterów; powiem tylko tyle, że to ludzie inteligentni, oboje z wyższym wykształceniem technicznym, mieszkający w dużym mieście wojewódzkim Rzeszowie i pracujący bądź co bądź w swych technicznych specjalnościach na eksponowanych, kierowniczych stanowiskach. Bliższych danych personalnych, a nawet zawodowych nie podaję, gdyż wprawdzie małżonkowie wspólnie nieba-



wem zasiądą na ławie oskarżonych, lecz odpowiadają z wolnej stopy; ich postępowanie prokurator zakwalifikował jako czyn z art. 184 § 1 *Kodeksu Karnego*: Znęcanie się fizyczne i moralne nad członkami swojej rodziny. W opisywanym przypadku dla oskarżonej była to rodzona matka, dla jej męża — teściowa. Przy czym moim skromnym zdaniem, spory i wewnętrzno-rodzinne nieporozumienia przekroczyły granice, które właściwie dziś już niktogo nie dziwią i nie powodują sąsiedzkich ingerencji w domowe sprawy: tym razem sąsiedzi interweniowali i to nie jeden raz; a inna sprawa, że skutek owych kilku poprzednich interwencji dla losu matki-teściowej był prawie żaden...

Osoba pokrzywdzona posiadała w jednym z miast Podkarpacia własny domek z ogrodem. Realność sprzedała, a sporą część pieniędzy, jakie uzyskała — oddała mieszkającej w Rzeszowie córce; ta, zainkasowawszy z mężem ponad 187 000 zł, podjęła się roztoczyć opiekę nad matką, bo obie jej siostry, które mieszkały w mieście, skąd dopiero co wyprowadziła się matka, nie miały po temu warunków lokalowych, aby rodzicielkę do siebie przygarnać. Rzeszowska córka dysponowała spół-

dzielczym locum i tutaj właśnie na początku zamieszkała matka.

Rychło w rodzinie zaczęły się nieporozumienia: kilka razy w tygodniu w godzinach nocnych wyrzucano ją na klatkę schodową, gdzie starsza osoba spędzała wiele godzin, a podczas awantur zięć groził teściowej zabójstwem. Uciekała więc zrozpaczona matka do tych dwóch córek, które opuściła, ale dłużej u nich pozostać nie mogła. Zaczęły się te nieporozumienia nasilać jesienią 1971 r., kiedy to małżonkowie kupili sobie jednorodzinny domek i po remoncie zamieszkali w nim. Jeden pokój córka i zięć zagwarantowali starszej pani, dopuszczając zarazem do korzystania przez nią z kuchni i łazienki. Ale kiedy nadal wszystko układało się w rodzinie źle — matka zażądała od córki zwrotu całej wpłaconej jej kwoty, a ponadto poprosiła o załatwienie jej oddzielnego mieszkania.

Próśb tych małżeństwo nie spełniło; natomiast „zagaściły” się od tej pory szynki: od r. 1973 do 4 kwietnia 1975 matka została wielokrotnie przez córkę i zięcia pobita dotkliwie, a rozmiar tych rękoczynów oddają liczne zaświadczenia lekarskie. Kilkakrotnie też wyrzucano starszą kobietę z domu, więc przebywała albo w

ogrodzie, albo szukała pomocy u sąsiadów, którzy wzywali patrol MO. Lecz takie interwencje nie załatwiały sprawy na dłużej. Metody bicia matki doprowadzono „technicznie” do takiej perfekcji, że na ciele ofiary nie pozostawały ślady katowania. Straszono też matkę, że zostanie wywieziona do zakładu psychiatrycznego, znieważano słownie, oblewano zimną wodą, pluto na nią. W miesiącach ubiegłej zimy (od grudnia aż do wiosny) córka i zięć wyłączyli w pokoju matki-teściowej prąd i gaz, a więc pokrzywdzona, aby się choć trochę ogrzać, chodziła do sąsiadów. W sprawie starszej kobiety interweniowały już nawet ogniwa wydziału zdrowia i opieki społecznej, lecz równie bezskutecznie, jak bezskuteczne były wszelkie poprzednie interwencje...

Wreszcie 8 kwietnia br., kiedy córka z mężem pobili swą ofiarę a potem strącili ją ze schodów, córka wezwała karetkę pogotowia. Spełniły się jej groźby: matka wbrew swej woli przy protestach pojechała do zakładu psychiatrycznego w Jarosławiu, skąd po zbadaniu ją zwolniono, bowiem specjaliści nie stwierdzili u niej żadnego śladu choroby psychicznej, uzasadniającej izolację w zamkniętym szpi-

talą dla nerwowo chorych! 4 września br. znów córka i zięć wywożą matkę bez jej woli i zgody do państwowego domu pomocy społecznej w innym województwie, skąd wyszła tylko dzięki interwencji władz prokuratorskich, po czym zamieszkała już u innej córki, w innym mieście.

A oskarżeni, owa para, która tyle krzywdy i zła uczyniła własnej matce, teściowej? Cóż — nie przyznają się do winy: to matka — powiadają — znęcała się nad nimi moralnie, urządzała im awantury, pomawiała w obecności sąsiadów o niewłaściwe zachowanie. A obrażenia? Cóż, odniosła je wtedy, kiedy sama spadła ze schodów. Dobrze, że w tej sprawie sąsiedzi nie byli obojętni, że interweniowali i teraz, kiedy już dojdzie do rozprawy sądowej, niewątpliwie zaświadczą prawdę”.

Doc. Wiśniewska-Roszkowska, analizując sytuacje ludzi starych w zakładach opiekuńczych, zwraca uwagę na to, że bardzo częstym powodem lokowania ich tam, jest złe i nieludzkie traktowanie przez rodziny osób w podeszłym wieku (jak to widzieliśmy wyżej). Ale są też obiektywne powody i warunki, utrudniające lub uniemożliwiające pobyt takich osób w domu, jak: ciasne mieszkanie, brak fachowej

opieki, gdy młodzi idą do pracy, konieczne zabiegi lecznicze itp. Oczywiście, rzadko się to zdarza w rodzinach naprawdę kochających się szczerze. Jednakże i w takich wypadkach jest rzeczą ważną oddziaływanie na samych ludzi starych, by się opanowywali i nie utrudniali sobie i otoczeniu życia. Niejednokrotnie bowiem — zwykle jako „nie wychowani do starości” w młodych latach — powodują spięcia i zmuszają do umieszczania ich poza domem rodzinnym. Np. pośpiech i ciasnota w sklepach, w mieszkaniach, w środkach lokomocji powodują u ludzi stan nerwowego napięcia, łatwo prowadzący do wyła-dowań. Tymczasem ludzie starzy często bez koniecznych powodów demonstrują w takich sytuacjach swoją obecność. Gdy zdarzy się nieestetyczny wygląd, zaniedbanie i przykry sposób bycia osoby starszej, łatwo wywołuje to negatywne reakcje otoczenia...

6. Każdego nowicjusza w Domu Pogodnej Starości w Krakowie-Prokoci-miu — czytamy w artykule *Słowa Po-wszechnego*, nr 12 z 16 I 1976 r. — wita pobożne życzenie nowych gospodarzy — „Dać życiu więcej lat, a latom więcej ży-

cia”. O ileż łatwiej jest realizować pierwszą część tego hasła. Zajmuje się nim cały sztab ludzi: lekarze różnych specjalności, personel pielęgniarski, psychologowie, służba socjalna, nie mówiąc o pomocy rozwijających się obecnie nauk — geriatry i gerontologii. Trudniejsza, choć wcale nie mniej ważna jest druga część hasła — „dać latom więcej życia”. Tu lekarze wraz z całą swoją wiedzą gerontologiczną niewiele potrafią pomóc, aczkolwiek takie próby podejmowali i oni, i sam dyrektor... Z Domem Pogodnej Starości — wnioskuje autorka reportażu — jest podobnie jak z Domem Dziecka. W każdej z tych instytucji największy problem, to brak rodzinnej atmosfery. Społeczeństwo Krakowa zapewniło najstarszym swoim obywatelom maksimum wygody i opieki, poświęciło i poświęca im bardzo dużo serca, ale tego problemu jednego nie jest w stanie rozwiązać. Może dlatego, że ludzie aktywni zawodowo przez całe życie, potrzebni rodzinie i przyjaciołom, nie lubią wypoczywać...”. My byśmy dopisali: „znaleźć się na marginesie życia”, gdy się nie rozumie sensu twórczego i spokojnego życia w starości i do tego się nie przygotowało...

W proces „odmładzania” ludzi starych przeróżnymi sposobami muszą się włączyć wszyscy. Sanatoria i domy wczasowe, gdy w nich w pewnych okresach przebywają wyłącznie emeryci, powinny organizować „kursy o twórczej starości” z udziałem specjalistów: lekarzy, psychologów, wybitnych pedagogów społecznych. Duże możliwości kryją się w pracy samorządów osiedlowych, domów kultury, klubów i środków masowego przekazu, do których należy wciągać ludzi starych, dostrzegać ich pracę, „dowartościować ich” jako doświadczonych w wielu dziedzinach, zaakceptować ich obecność... Odrębne domy dla starców, poza osiedlami, nie zdadzą egzaminu. Dlatego w nowo powstających osiedlach należy wyodrębnić osobne domy spółdzielcze dla ludzi starych i przewidywać w nich opiekę pielęgniarzką, kuchnię społeczną itp. Tzw. ludzkie warunki — własny kąt i niezależność materialna — są podstawowym oparciem dla ludzi starych, gdyż mając to, mogą śmieiej kontaktować się z otoczeniem i lepiej organizować sobie spędzenie wolnego czasu.

Na zakończenie trzeba krótko wspomnieć o najnowszych zarządzeniach władz państwowych w zakresie opieki i świad-

czeń socjalnych na rzecz ludzi starych i emerytów. Oprócz stałego podnoszenia rent i emerytur (że wspomnę Rozp. Rady Ministrów z 31.5.1974 r. w sprawie najniższych emerytur i rent), rozbudowy Domów Spokojnej Starości, przepisów o zatrudnianiu emerytów na warunkach finansowo korzystniejszych niż to było dotychczas możliwości korzystania z sanatoriów i domów wczasowych itp. — władze PRL zajęły się w ostatnich latach losem ludzi starych i wypracowanych na wsi. W ramach bowiem ubezpieczeń społecznych pracowników rolnictwa zapewniono ludziom starym nie tylko jakąś doraźną pomoc, ale te same socjalne świadczenia co pracownikom i emerytom innych resortów gospodarki, również i tym, którzy swą rolną posiadłość odstąpili państwu (za rentę lub spłatę) ze względu na podeszły wiek. Dzięki tym zarządzeniom niepewny los ludzi starych na wsi uległ znacznej poprawie.